

NA SZLAKU KRESOWEJ



ROK III — NR11(30)

Ref. Kult. i Prasy

**KRESOWEJ
DYW. PIECHOTY**

Włochy - Styczeń 1946

Na szlaku Kresowej

Numer 1 (30)

Referat Kultury i Prasy Kresowej Dywizji Piechoty
Włochy • Styczeń • 1946

Bibl. Publ. m. st. W-wy
Dor. 46/560 1957 r.



R.20692

Redaktor: *Witold Zahorski*

Adres Redakcji: C. M. F. Polish Forces 62
Drukarnia Poliglotta C. di M. - Via Banchi Vecchi, 12
Roma

... Moim zdaniem Naród Polski tylko na dwie klasy dzielić można:

Na dobrych i złych Polaków.

Do pierwszych liczę tych, co dla dobra Kraju swego poświęcić są gotowi i życie i wszystko, co posiadają i to z serca i duszy, nie zaś przez rachubę lub spekulacje, i którzy zgodę i jedność między rodakami utrzymać usiłują.

Do drugich liczę tych, co dla widoków osobistych, lub w duchu partii działają; nie tylko wojnę domową wzniecić, ale nawet z obcymi łączyć się są gotowi, byle swoje zamiary przeprowadzić.

Moją religią było i będzie: pierwszych szanować, ich zasługi i usiłowania podług możności wspierać — drugich zaś gromić i ich nieczne plany niweczyć.

Z listu Bema do Czajkowskiego (Rok 1850)

Wchodząc w trzeci rok...

W styczniu 1946 r. rozpoczynamy trzeci rok wydawania „Na szlaku Kresowej”. Wczesną wiosną 1944 r., zaraz po zajęciu przez Dywizję Kresową bojowego odcinka w górach nad Volturno powstała myśl, ażeby uruchomić własne, odbijane na powielaczu, pismo. Cele pisma były raczej wychowawcze. Chodziło o zaznajomienie żołnierza, który po raz pierwszy wszedł do akcji, z codziennym życiem na odcinku, z patrolowaniem, zakładaniem min, urządzaniem zasadzek i podchodzeniem wysuniętych placówek nieprzyjaciela. Chodziło o wymienienie z imienia i nazwiska każdego z „Żubrów”, który w tych zawodach wojennych wykazał jakąś szczególniejszą zręczność, czy osobliwszą pomysłowość. Chodziło wreszcie o pokazanie, że to wszystko jest zwykłe i codzienne, że nie ma w tym żadnych nadzwyczajności, że każdy potrafi i może to wykonać.

Współpracownikami „Na szlaku Kresowej” byli wtedy wyłącznie żołnierze Dywizji. Pisali — dosłownie odkładając na bok tomigan i granaty, bezpośrednio po powrocie z patrolu lub wypadu, zaraz po zejściu z punktu obserwacyjnego. Pisali o tym, co nas wszystkich wtedy całkowicie pochłaniało — o wojnie: o jej technice, o jej trudach i znojach, o jej radościach i smutkach — i o jej sroku.

Tak przeszedł 1944 rok. Wojna stała się nam rzeczą codzienną i zwyczajną, chlebem powszednim. Byliśmy po Monte Cassino i po Anconie. Ale byliśmy i po Teheranie i po Jałcie.

Sprawy polityczne poczynają się stawać naszą największą troską. Żołnierz chciał wiedzieć prawdę — choćby najgorszą, ale prawdę! — o tym, jakie zamiary wobec Polski mają nasi wrogowie i nasi sojusznicy. Chciał o tym wiedzieć i musiał być uczciwie poinformowany.

Dlatego z początkiem 1945 roku postanowiliśmy rozszerzyć zarówno krąg naszych współpracowników, jak i objętość pisma i przesłaliśmy na wydawanie drukowanego już miesięcznika. W pierwszym — w tej nowej formie wydanym — numerze dowódca Dywizji, gen. N. Sulik w artykule wstępnym pt. „Pismo — przyjaciel odważny, mądry i wierny” tak określił nasze zadania:

„Nasze dywizyjne pismo „Na szlaku Kresowej”, które tak jeszcze niedawno stawiało pierwsze swoje dziecinne, niedołęzne kroki — wzmocniło się, okrzepło i stało się bardzo ambitne: zamierza stać się regularnym miesięcznikiem o poważnej objętości i służyć żołnierzowi Kresowej.

Redakcja pragnie sformułowania roli pisma w życiu żołnierskim. Wydaje mi się, że tytuł niniejszego artykułiku daje zgrub-

sza odpowiedź. Pismo ma być przyjacielem żołnierza — odważnym, mądrym i wiernym, jednym słowem — przyjacielem prawdziwym.

Każdy człowiek i każde zbiorowisko ludzkie — a nie zapominajmy, że jest nas kilkanaście tysięcy — ma swoje zalety i wady. Jeśli zarówno pojedynczy człowiek, jak i zbiorowisko ludzkie do czegoś usilnie dąży, pragnie się doskonalić — musi się oprzeć na przyjaciela, który mu będzie zawsze mówił przede wszystkim prawdę, uczciwą, rzetelną, miłą lub nie, ale zawsze prawdę.

Żyjemy w czasach, kiedy okropne zakłamanie panuje na całym świecie, kiedy może nawet szereg uczciwych ludzi przestało się orientować — co jest prawdą, a co jest kłamstwem. Dlatego służba PRAWDZIE jest może pierwszym obowiązkiem naszego pisma.

Naród Polski, a z nim Dywizja Kresowa, jako jego część, przeżywa czasy wyjątkowo ciężkie i toczy ciężką walkę ze złem. Jeśli ma tę walkę wygrać, musi się piąć na coraz wyższy szczebel moralny, musi być moralnie tak silny, żeby żadne chwilowe i przejściowe niepowodzenia nie mogły tym morale zachwiać. A więc wierna przyjaźń naszego pisma jest nam potrzebna do podtrzymania na duchu w trudnych chwilach...

... Nasze pismo musi pomóc nam zająć czynną postawę wobec życia i wszystkich jego przejawów, szczególnie wobec naszego Państwa i Jego przyszłości, wobec wschodniej Polski, Wilna, Lwowa, Wołynia, ale również wobec Śląska, Pomorza, Prus Wschodnich, bo żołnierz polski — zgodnie z przysięgą — musi pamiętać o każdym skrawku ziemi polskiej, musi się nauczyć całą ziemię polską kochać i o całą walczyć.

Pragniemy, ażeby pismo nasze dopomogło do tego, że każdy żołnierz Kresowej będzie prawym, rzetelnym, uczciwym i mądrym Polakiem, szlachetnym i dzielnym żołnierzem bez skazy''.

Wchodząc w trzeci rok wydawnictwa — cóż do tego możemy dodać? Chyba to tylko, że nasze ambicje jeszcze bardziej wzrosły, że chcemy służyć nie tylko żołnierzowi Kresowej, ale wszystkim Polakom na świecie. A chcemy i będziemy to czynić tak jak dotychczas: SŁUŻBA PRAWDZIE BĘDZIE NADAL NASZYM PIERWSZYM OBOWIĄZKIEM.

Rozszerzając jednak tak bardzo nasz zakres służenia, pragniemy gorąco utrzymać uświęconą krew naszych poległych towarzyszy broni tradycję Kresowej, jej walkę o polskie Wilno i Lwów.

Bowiem dla nas świętą prawdą jest, że bez Wilna i Lwowa nie ma Rzeczypospolitej, a bez Rzeczypospolitej — nie ma wolnej Europy.

Odezwa wzywająca do Powstania

Warszawa, dnia 22-go stycznia 1863 roku.

Nikczemny rząd najezdniczy, rozwścieklony oporem męczzonej przezeń ofiary, postanowił jej zadać cios stanowczy: porwać kilkadziesiąt tysięcy najdzielniejszych, najgorliwszych jej obrońców, oblec w nienawistny mundur moskiewski i pognać tysiące mil na wieczną nędzę i zatracenie.

Polska nie chce, nie może poddać się bezopornie temu sromotnemu gwałtowi; pod karą hańby przed potomnością powinna stać energiczny opór. Zastępy młodzieży walecznej, młodzieży poświęconej, ożywione gorącą miłością Ojczyzny, niezachwianą wiarą w sprawiedliwość i pomoc Boga, poprzysięgli zrzucić przekłętą jarzmo lub zginąć. Za nią więc, Narodzie Polski, za nią!

Po straszliwej hańbie niewoli, po niepojętych męczarniach ucisku Centralny Komitet Narodowy, obecnie jedyny legalny Rząd Twój Narodowy, wzywa Cię na pole walki już ostatniej, na pole chwały i zwycięstwa, które Ci da i przez imię Boga na niebie dać przysięga, bo wie, że Ty, który wczoraj byłeś pokutnikiem i mścicielem, jutro musisz być i będziesz bohaterem i olbrzymem!

Tak, Ty wolność Twoją, niepodległość Twoją zdobędziesz wielkością takiego męstwa, świętością takich ofiar, jakich lud żaden nie zapisał jeszcze na dziejowych kartach swoich. Powstającej Ojczyźnie Twojej dasz bez żalu, słabości i wahaniasz całą krew, życie i mienie, jakich od Ciebie zapotrzebuje.

W zamian Komitet Centralny Narodowy przyrzeka Ci, że siły dzielności Twej nie zmarnieją, poświęcenia nie będą stracone, bo ster, który ujmuje, silną dźwignię będzie ręką. Złamię wszystkie przeszkody, roztrąci wszelkie zapory, a każdą nieprzychylność dla świętej sprawy, nawet brak gorliwości, ścigać i karać będzie przed surowym, choć sprawiedliwym trybunałem obrażonej Ojczyzny.

W pierwszym zaraz dniu jawnego wystąpienia, w pierwszej chwili rozpoczęcia świętej walki, Komitet Centralny Narodowy ogłasza wszystkich synów Polski, bez różnicy wiary i rodu, pochodzenia i stanu, wolnymi i równymi obywatelami kraju. Ziemia, którą lud rolniczy posiadał dotąd na prawach czynszu lub pańszczyzny, staje się od tej chwili bezwarunkową jego własnością, dziedzictwem wiecznym. Właściciele poszkodowani wynagrodzeni będą z ogólnych funduszy Państwa. Wszyscy zaś komornicy i wyrobnicy, wstępujący w szeregi obrońców kraju, lub w razie zaszczytnej śmierci na polu chwały rodziny ich, otrzymują z dóbr narodowych dział obronionej od wrogów ziemi.

Do broni więc, Narodzie Polski, Litwy i Rusi, do broni! Bo godzina wspólnego wyzwolenia już wybiła, stary miecz nasz wydobyty, święty sztandar Orła, Pogoni i Archanioła rozwinięty!

Komitet Centralny — jako Tymczasowy Rząd Narodowy

Rok 1945

Rok 1945 rozpoczął się, jak każdy rok nowy, pełen nadziei zakończenia wojny i krwawych zmagani niemal całej ludzkości, rozpoczęcia się lepszej ery.

Istotnie, w roku tym miały zapasć wielkie decyzje. Tempo wypadków o epokowej doniosłości było znacznie pośpieszniejsze, niż w poprzednich latach wojny.

I myśmy ten rok rozpoczynali z nadzieją, że sprawa polska doczeka się sprawiedliwego rozstrzygnięcia. Nasza sprawa to fragment ważny i duży, ale tylko fragment sprawy europejskiej. Każdy wypadek dotyczący spraw europejskich, gra w sprawie naszej. Zobaczmy — w wielkim skrócie — co rok 1945 nam dał, a co wziął.

Po odparciu u schyłku 1944 roku kontrofensywy Rundstedta w Ardennach przyszły akcje starannie przygotowane na froncie zachodnim i wschodnim, akcje zsynchronizowane, uniemożliwiające należytą obronę kruszącego się aparatu wojennego III Rzeszy. Niezrozumiałe dla wielu pozostawianie przez Niemców wciąż jeszcze znacznych sił na terenie włoskim wydawało się redukować możliwości obronne Niemiec. Ze strony zachodniej uderzono na Rzeszę w Alzacji, na centralnym odcinku frontu, co w dalszym następstwie dało zdobycie Kolonii. Od wschodu wojska sowieckie wtargnęły do Węgier, kierując się na Budapeszt i Wiedeń. Na terenie Polski w styczniu 1945 r. wojska te wznowiły swe posuwanie się naprzód, zajęły ruiny Warszawy i szybkim ruchem opanowały Kraków, szczęśliwie bez walk o same miasto. W ten sposób już w pierwszym miesiącu 1945 roku spotęgowało się natarcie na Rzeszę Niemiecką zarówno od wschodu jak i zachodu. W lutym nastąpiło przełamanie linii Zygfryda; na ziemiach polskich armia sowiecka opanowała po walkach z Niemcami Poznań. Stawało się jasne, że przegrana Rzeszy jest już tylko kwestią bliskiej przyszłości. Zasadnicze problemy, tak związane z ostatnim okresem walk z Rzeszą jak i z programem dotyczącym postępowania na terenach Europy po osiągnięciu zwycięstwa, wymagały jak najpełniejszego porozumienia między zwycięzcami. W normalnej, jak na wojenne warunki, tajemnicy, odbyła się konferencja prez. Roosevelta, premiera Churchilla z marszałkiem Stalinem w Jaltie. Konferencja ta była właściwie do pewnego stopnia

podobna do konferencji w Teheranie: walka z Niemcami jeszcze trwała, z Japonią wojna była w pełni, powszechnie przypuszczano, iż trwać ona będzie jeszcze długo. Chodziło o utrzymanie jednolitego frontu i działania w porozumieniu. Ceną tego porozumienia były ustępstwa na rzecz Związku Sowieckiego, między innymi — ustępstwa w sprawie polskiej, bardzo daleko idące i dotychczas nie naprawione. Protest Rządu Polskiego został zgłoszony. Położenie na ziemiach polskich, prawie całkowicie okupowanych już przez wojska sowieckie, wymagało rozwiązania ostatnich oddziałów Armii Krajowej. W tym kierunku został wydany specjalny rozkaz Prezydenta R. P. do Armii Krajowej. Nieufność w stosunku do myśli niepodległej Polski na terenach rządzonych przez nowego okupanta doprowadziła do aresztowania szesnastu wybitnych przedstawicieli polskich i uwięzienia ich w Moskwie.

Walki toczyły się dalej. Wojska alianckie natarły na Niemców nie tylko na froncie zachodnim, gdzie na odcinku północnym kierował ofensywą marszałek Montgomery, (doprowadziła ona do wkroczenia na ziemie niemieckie I Polskiej Dywizji Pancerniej) — ale też i na południu, gdzie pod dowództwem marszałka Alexandra wojska niemieckie wypierano z północnych Włoch. Akcja 2. Korpusu Polskiego, która rozpoczęła tę ostatnią ofensywę na tym terenie przełamaniami umocnień niemieckich nad rz. Senio — zakończyła się zdobyciem Bolonii.

Zbliżający się koniec działań wojennych w Europie zmuszał do przemyślenia i przygotowania podstaw wspólnoty pomiędzy narodami w okresie pokoju. Dawna Liga Narodów nie zdała egzaminu, nie urzeczywistniła pokładanych w niej nadziei. Czy zawód ten spowodowany był niezwykle okolicznościami jej powstania — inicjator, prez. Wilson nie potrafił uczynić Stanów Zjednoczonych jej członkiem — czy były to wady działania wynikające z jej struktury organizacyjnej, czy też brak wojskowej siły wykonawczej, która by mogła zmusić do przeprowadzenia uchwał tego ponadparlamentu (na brak ten zwracał uwagę w swoim czasie marsz. Piłsudski), pozostanie to tematem licznych na pewno badań historycznych. Postanowiono stworzyć nową podstawę współpracy między naro-

dami i zwołano w tym celu (kwiecień 1945) konferencję w San Francisco. Rząd Polski, niestety, na tę konferencję zaproszony nie został. Państwo, które pierwsze oparło się agresji i kosztem olbrzymich ofiar udowodniło światu swe umiłowanie wolności — na konferencji tej reprezentowane nie było.

W kwietniu 1945 r. zakończył życie wielki wódz narodu amerykańskiego F. D. Roosevelt. Ostatni okres jego życia, ze względu na zły stan zdrowia prezydenta, różnił się znacznie w wydajności od poprzedniego i prawdopodobnie szereg uchwał konferencji jałtańskiej wyglądałby inaczej, gdyby na konferencji tej nie reprezentował największe mocarstwo świata człowiek stojący już nad grobem. Pod koniec tego samego miesiąca nastąpiło załamanie się frontu niemieckiego na zachodzie, południu i wschodzie.

Wódz włoskiego faszyzmu poniósł śmierć z rąk grupy swoich ziomków, zadaną mu w taki sposób, jak gdyby uczucie zemsty przystąpiło im wszystkie inne. Nie chcąc doczekać się zasłużonej kary, zginął w zamachu samobójczym — którego szczegóły znacznie później zostały ujawnione — Führer III Rzeszy, sprawca tej strasznej wojny, winowajca milionów mąk i śmierci ludzkich.

W początkach maja nastąpiła kapitulacja wojsk niemieckich, walczących jeszcze we Włoszech północnych. Zakończyło to okres walk 2. Korpusu na terenie Włoch i rozpoczęło nowy etap jego egzystencji. Zbliżające się szybkimi krokami zakończenie działań wojennych w Europie spowodowało zmiany w polityce wewnętrznej Wielkiej Brytanii. Rząd Jedności Narodowej W. Brytanii przestał istnieć; wkrótce postanowiono przeprowadzenie wyborów, bowiem Izba angielska z powodu wojny trwała bez zmian aż dziesięć lat. Maj i miesiące następne wypełnione były likwidacją akcji wojennej i przemianami związanymi z zakończeniem wojny we wszystkich krajach Europy. Niektóre posunięcia miały raczej znaczenie symboliczne, jak np. podpisanie w Berlinie aktu kapitulacyjnego, jako uzupełnienie uprzednio podpisanego podobnego aktu w Reims. Wlokące się wykonywanie uchwał zapadłych w Jałcie dotyczących Polski zostało posunięte naprzód przez utworzenie w Moskwie tzw. tymczasowego „Rządu Jedności Narodowej”.

Niemcy podzielono na strefy okupacyjne pomiędzy zwycięskie strony: Wielką Brytanię, Stany Zjednoczone, Rosję i Francję, nie mogąc dojść do porozumienia co do wspólnego zarządu całości Niemiec. Decyzja

ta była jeszcze jedną konsekwencją zasady datującej się od Konferencji Teherańskiej — podziału świata na strefy wpływów. Strefy okupacyjne w Niemczech uległy pewnym korektom granicznym, które doprowadziły wojska sowieckie w środkowych Niemczech do prawie dwustokilometrowej odległości od Renu.

I Berlin i Wiedeń znalazły się na terenie okupacji sowieckiej. Przekazanie części tych stolic pozostałym okupantom nastąpiło po uciążliwych układach.

Lipcowe wybory w Anglii doprowadziły do zmiany rządu. Do władzy przyszła przy rzadko spotykanej większości głosów — Labour Party.

Niebawem Stany Zjednoczone, W. Brytania i Francja dokonały uznania tzw. Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej w Warszawie, rządu skonstruowanego w Moskwie i z punktu widzenia prawnego zupełnie nielegalnego. Mnogość problemów w polityce międzynarodowej, wymagających jeśli nie rozstrzygnięcia, to w każdym razie uzgodnienia, spowodowała zwołanie konferencji „Trzech Wielkich” w Poczdamie, czyli na terenie niemieckim, okupowanym przez Związek Sowiecki. Było to pierwsze spotkanie Prezydenta Stanów Zjednoczonych Trumana ze Stalinem. Podczas konferencji, w konsekwencji zmiany rządu w Anglii, premier Churchill zastąpiony został już w końcowej fazie obrad przez premiera Attlee. Zmiana osób biorących udział w tych rozmowach, a może jeszcze w głębszej mierze fakt zakończenia wojny z Niemcami i zastąpienia stosunków wojskowo — sojuszniczych „sąsiedzko-okupacyjnymi” wpłynął na fakt, że poczdamska konferencja różniła się i swym przebiegiem i swymi wynikami od podobnych spotkań w Teheranie i Jałcie. Zaraz po konferencji poczdamskiej nastąpiło użycie bomby atomowej. Wydarzenie ten może mieć tak olbrzymie znaczenie w dziejach ludzkości, że nie jesteśmy jeszcze w możności nawet pobieżnie przewidzieć jak wielki jest jego zakres. W dniu 6. VIII. 45 wybuchła tego rodzaju bomba nad Hiroshima, a w trzy dni później nad Nagasaki. Pomiedzy tymi dwoma wybuchami Związek Sowiecki uznał za właściwe wypowiedzenie wojny Japonii, która 11 sierpnia wyraziła gotowość kapitulacji i wkrótce potem podpisała układ kapitulacyjny.

Na terenie Europy odbywająca się walka wpływów zachodnich i wschodnich przejawiała się między innymi w zaostrzeniu sytuacji w Rumunii, gdzie ufnym w popar-

cie Moskwy premier Groza wypowiedział posłuszeństwo królowi Michałowi.

Wyniku kapitulacji Japonii — amerykańskie wojska okupacyjne lądowały na wyspach japońskich i zajęły Tokio.

Nierozstrzygnięcie wielu zagadnień na konferencji w Poczdamie wymagało ponownienia starań o pełniejsze porozumienie, których wynikiem była zwołana w Londynie konferencja ministrów spraw zagranicznych W. Brytanii, Stanów Zjednoczonych, Związku Sowieckiego, Francji i Chin. Była to próba rozszerzenia udziału w decydowaniu o stosunkach narodowych przez dodanie Francji i Chin.

Walka wpływów na terenie Europy trwała dalej: jednym z jej przejawów było aresztowanie przez Tita dawnego premiera Jugosławii dr. Subasica, który swego czasu opuścił młodocianego króla Piotra i poszedł na współpracę z czerwonym dyktatorem swego państwa. W październiku londyńska konferencja ministrów spraw zagranicznych skończyła się fiaskiem ze względu na nieustępliwe stanowisko Sowieców. Wskazuje to, jak wielce niedostateczne jest porozumienie istniejące wśród głównych czynników polityki światowej, jak wielkie są różnice, i jak dalecy jesteśmy od prawdziwego pokoju.

W Polsce wojska sowieckie, mimo istnienia formowanych oddziałów polskich, zajęły kilkanaście większych miast.

W listopadzie z odcinka walki o strefy wpływów w Europie podkreślić należy wybory w Austrii; dały one wyniki prawie identyczne z wynikami sprzed lat dziesięciu. Rzeczą charakterystyczną jest znikoma ilość głosów komunistów, zwłaszcza w sowieckiej strefie okupacyjnej, gdzie zdobyli oni znacznie mniej głosów, niż w strefie amerykańskiej, angielskiej i francuskiej. Na terenie Węgier, mimo znacznych sił wojskowych sowieckich, wybory dały większość niekomunistyczną. W Jugosławii natomiast wyniki wyborów wypadły pomyślnie dla marszałka Tita. Zaburzenia w Palestynie na tle nieustających tarć żydowsko - arabskich zmusiły do poważnego, ponownego przystąpienia do analizy problemu tego kraju. Wielka Brytania sprawująca mandat nad Palestyną zgodziła się na udział Stanów Zjednoczonych w rozpatrzeniu zagadnienia emigracji Żydów.

W Azerbejdżanie, północno-zachodniej części Persji, wybuchło „demokratyczne” powstanie. Jest to akcja wiążąca się z datą (marzec 1946) zapowiedzianego wycofania się wojsk obcych z terenów Persji. Azer-

bejdżan został okupawany przez Związek Sowiecki.

Niezadawalające zakończenie konferencji poczdamskiej i fiasko konferencji ministrów spraw zagranicznych w Londynie spowodowało zbliżenie się Anglo-sasów, czego wynikiem były obrady w Waszyngtonie z udziałem Prezydenta Trumana, premiera Attlee i Premiera Kanady Mackenzie Kinga. Podczas wojny byłaby ona nie do pomyślenia bez udziału Związku Sowieckiego.

Porządkujące się stopniowo stosunki na terenie Europy zachodniej przejawiały się na terenie Francji w formie wyborów wyłaniających parlament, mający za zadanie opracowanie nowej konstytucji. Generał De Gaulle utrzymywał się mimo trudności. Nowa partia (Mouvement Republicain Populaire) powstała częściowo spośród czynnych członków organizacji podziemnych i reprezentująca ruchy odrodzenia francuskiego, uzyskała prawie taką ilość głosów, jak partia socjalistyczna i komunistyczna.

We Włoszech pewne uspokojenie opinii publicznej przejawło się w wyniku dosyć szybkiego rozstrzygnięcia kryzysu rządowego. W grudniu nastąpiło w Moskwie otwarcie konferencji ministrów spraw zagranicznych, ale już tylko trzech państw: Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Związku Sowieckiego. Jest to niewątpliwie ustępstwo na rzecz tego ostatniego. Prasa sowiecka witała przyjeżdżających ministrów artykułami domagającymi się włączenia do ZSRR pewnych terenów Turcji.

Tak więc rok 1945 kończy się w atmosferze tych samych walk o strefy wpływów sowieckich, jakimi się zaczął, z tą jednak różnicą, że zamiast armii czerwonej działa dyplomacja.

Świat powoli przystępuje do odbudowy zniszczeń wojennych i do unormowywania warunków egzystencji i pracy. Proces ten postępuje powoli, może zbyt powoli. Na przeszkodzie stoją wielkość zniszczeń i zmęczenie, przejawiające się głównie wśród narodów o starej kulturze. Straty Europy w ludziach w akcji wojennej są naogół mniejsze, niż w pierwszej wojnie światowej. Premier Churchill w jednym z jesiennych swych przemówień w Izbie Gmin 1944 r. podał, że ilość zabitych obywateli angielskich w ciągu pięciu lat wojny nie przewyższyła liczby osób, które w Anglii uległy wypadkom drogowym w ciągu tego czasu... Liczba zabitych w kampanii francuskiej (1939-1940) sięgała 50.000 ludzi. Została ona podniesiona następnie przez straty w Afryce północnej, we Włoszech i

w Niemczech. Nie były i one zresztą bardzo znaczne, to też nie można ich nawet porównać ze stratami Francji w pierwszej wojnie światowej. Znacznie większe straty poniosły Niemcy i Związek Sowiecki.

Polska poniosła straty olbrzymie, głównie w obozach koncentracyjnych i na przymusowych robotach w Niemczech i Rosji.

Charakterystyczną cechą ostatniej wojny była olbrzymia cyfra strat poniesionych przez ludność cywilną i to głównie na terenie kontynentu europejskiego. Bestialskie mordowanie setek tysięcy ludzi miało miejsce przede wszystkim w Polsce.

W wyniku tyloletniej wojny, w której tak ogromne masy ludzkie brały udział, zmniejszył się znacznie przyrost naturalny ludności w poszczególnych krajach, co będzie miało swe odbicie w stosunkach europejskich w ciągu wielu lat. Niespotykane dotychczas w dziejach przetrwanie ludzi do pracy i przesiedlenia, jakie miały miejsce w tej wojnie (około 7.000.000 w Niemczech), a zapoczątkowane układem niemiecko-sowieckim (dotyczącym przesiedlenia Niemców z krajów bałtyckich już w 1939 roku), pozostawia głęboki ślad i wymaga czasu, by wstrząsy wyrównać, a rany przez nie zadane zaleczyć, jeśli już nie wyleczyć. Roztoczenie opieki nad milionami jeńców, deportowanych robotników itd., repatriacja tych, którzy mają dokąd wracać — jest olbrzymim zadaniem wymagającym natychmiastowego działania. Zadanie to wzięła na siebie m. in. UNRRA.

Wojna spowodowała bardzo głębokie przemiany gospodarcze. Przekształcenie przemysłu pokojowego na wojenny i olbrzymia produkcja wojenna zredukowały do minimum bezrobocie w krajach takich jak na przykład Stany Zjednoczone, zwiększyła dochód mas pracujących, podniosła poziom życia, pogłębiła rynek wewnętrzny. Na terenie Europy działalność przemysłowa ułożyła się niejednolicie. Wielki jej rozwój w Anglii prawie usunął bezrobocie. Niemcy, rozwijający swój przemysł już na długo przed wybuchem wojny, rozbudowały go kosztem krajów europejskich, podbitych i zmuszonych do współpracy, podczas samej wojny. Przemysł wojenny Czech został znacznie rozszerzony. We Francji i Włoszech potencjał przemysłowy raczej ucierpiał, a nie rozbudował się. Olbrzymie wydatki wojenne i straty, przede wszystkim w marynarce handlowej Wielkiej Brytanii zmusiły ją w pewnym okresie do zakupów w Stanach Zjednoczonych, dokonywanych kosztem redukcji wpływów gospodarczych na półkuli zachodniej, jak też i wpływów politycznych.

Wprowadzenie przez Stany Zjednoczone ustawy o Lend and Lease umożliwiło państwu europejskim prowadzenie wojny z Niemcami. Wojna zakończyła się w Europie, pozostawiając ją ogólnie osłabioną, w wielu miejscach poważnie zniszczoną i wymagającą pomocy. Udzielenie Wielkiej Brytanii pożyczki przez St. Zjednoczone nie jest tylko aktem pomocy bogatego sojusznika, ale też dowodem zrozumienia zależności przemysłu i produkcji amerykańskiej od sytuacji na rynkach osłabionej Europy. Stany Zjednoczone wchodzi w rok 1946 jako największa potęga światowa nie tylko militarna, ale i ekonomiczna.

Odbywająca się demobilizacja, zadanie olbrzymie ze względu na miliony ludzi wchodzących w grę i bardzo wielkie odległości, naogół przechodzi szybciej i sprawniej, niż było można pierwotnie przypuszczać. Od chwili zaprzestania działań wojennych latem 1945 do grudnia 1945 włącznie, w samej armii Stanów Zjednoczonych zdemobilizowano około 5 milionów żołnierzy. Demobilizacja następuje może nawet zbyt szybko... Ostatnie głosy amerykańskich mężów stanu i Churchilla w jego ostatnim wywiadzie w Miami podzielały także te obawy. Przekształcenie przemysłu ze stopy wojennej na pokojową w wielkim organizmie Stanów Zjednoczonych i wysoce uprzemysłowionej Wielkiej Brytanii choć odbywa się stopniowo, połączone jest z nieuniknionymi wstrząsami.

W uwagach powyższych nie ma mowy o Związku Sowieckim. Co się dzieje na tym osłoniętym tajemnicą ogromnym obszarze? Jak dalece postępują przemiany w sowieckim przemyśle? Czy i w jakiej mierze odbywa się demobilizacja?... Nieliczne o tym ze strony sowieckiej dochodzą wiadomości, w tych dziedzinach wszystko wydaje się być przystosowane tak lubianą przez władze Związku Sowieckiego tajemnicą.

Zagadnienia Dalekiego Wschodu po zwycięstwie nad Japonią wymagają specjalnego omówienia. Władze okupacyjne w osobie amerykańskiego generała Mac Arthura starają się zdemilitaryzować Japonię materialnie i moralnie. Wydano długi rząd dekretów idących w kierunku rozbięcia ogromnych koncernów japońskich — przemysłowo-handlowych. Szereg zarządzeń ma zdemokratyzować życie japońskie; władza cesarza ma być zredukowana przez skłonienie go do oświadczenia, iż nie jest boskiego pochodzenia. W zdemokratyzowanej Japonii ma być reprezentowana także partia komunistyczna. Przechowywani i szkoleni pod opieką sowiecką jej adepci już wrócili

do Japonii. Zorganizowano szereg procesów przeciwko japońskim przestępcom wojennym. Część ich już kary poniosła, część wolała sobie odebrać życie, niż trafić na ławę oskarżonych.

Dotychczas całość przemian japońskich spoczywała na barkach amerykańskich. Obecnie powstał komitet doradczy, składający się z reprezentantów kilku państw.

W nareszcie zwycięskich Chinach Amerykanie dążą do układu pomiędzy Cziang Kai Szkiem a chińskimi komunistami. Istnieją nadzieje, że do takiego układu dojdzie i że może wreszcie ten kraj, reprezentujący największe pod względem ilościowym skupisko ludzi na świecie, wejdzie w erę spokoju.

Inaczej przedstawia się sprawa w Indonezji. Zdobyta przez Japończyków w akcji, w której brali udział mniejsze ilości wojsk, niż możnaby wobec ogromu interesów w grę wchodzących przypuszczać — wyspy Indii Wschodnich powróciły w ręce Aliantów. Aspiracje tubylców do samodzielnego istnienia, umiejętnie podsycane przez Japończyków, stworzyły poważne trudności, nie usunięte jeszcze.

W całej południowo-wschodniej części kontynentu azjatyckiego (Burmia—Sjam—Indochiny—Malaje) wyraźne jest dążenie zwycięzców do przywrócenia i utrzymania stosunków, jakie panowały tam przed wojną. W Indiach Holenderskich szuka się drogi, która by pogodziła ich młode aspiracje niepodległościowe z racją stanu Królestwa Holenderskiego i Wielkiej Brytanii.

Tak zwana Mongolia Zewnętrzna wydaje się całkowicie przechodzić pod wpływy sowieckie już nie tylko faktycznie, ale też formalnie. Odzyskanie przez Związek Sowiecki Sachalinu i Portu Artura jest odebraniem — za carskich czasów straconych — odległych posiadłości i krokiem naprzód

w realizacji sowieckiego planu daleko-wschodniego.

U schyłku 1945 roku świat nie był już w stanie wojny. Nie był on jednakże również w stanie pokoju. Na terenie najbardziej przez wojnę doświadczonej Europy istnieje rodzaj przegrody, jak ją niedawno nazwał były premier Churchill, dzielącej Europę na pół barierą trudną do przeniknięcia. Jest to granica bezpośrednich wpływów Związku Sowieckiego w Europie. Tak więc Europa jest dziś podzielona na teren wpływów zachodnich i na teren wpływów wschodnich. Świat żyje w niepokoju o układ stosunków na Bałkanach, w Turcji i w Persji. Nigdy ścieranie się wpływów kultury zachodniej ze wschodnią nie miało miejsca na tak wielką skalę i w tylu częściach świata, jak obecnie.

W polityce światowej rok 1945 zamyka się pod znakiem, niewiadomej, czy świat istotnie ma zostać podzielony na strefy wpływów „Trzech Wielkich”, czy tylko te trzy wielkie potęgi mają mieć głos decydujący, czy świeżo powołana do życia Organizacja Narodów Zjednoczonych — spadkobierczyni Ligi Narodów — stanie się powolnym instrumentem w rękach tych trzech potęg, czy też terenem właśnie ich rozgrywek?

U schyłku roku 1945 stanęło przed nami w całej swej jaskrawości pytanie:

Czy zasady równości i sprawiedliwości, stanowiące podstawę tego, co nazywamy kulturą zachodnią będą honorowane, czy też zostaną usunięte z życia przez zasadę wschodnią, traktującą człowieka jako bezduszną jednostkę w rękach despotycznego kierownika państwa.

Rok 1945 nie przyniósł sprawiedliwych rozstrzygnięć w sprawie Polski.

Polska opowiedziała się za przynależnością do Zachodu lat temu prawie tysiąc.

G.

„Wybory” jako narzędzie sowieckiego ucisku

Widocznym celem przeprowadzonych ostatnio i zapowiadanych „wyborów” w krajach Europy Środkowej i Południowo-Wschodniej, pozostających pod okupacją sowiecką lub pod sowiecką kontrolą, było nadanie marionetkowym rządów tych krajów wszelkich pozorów prawdziwej demokracji i formalnego po-

parcia narodu. Chciano stworzyć wszelkie pozory przestrzegania zasad Karty Atlantycznej, aby wyeliminować uzasadniony głos demokracji zachodnich w urządzeniu życia państwowego narodów w sowieckiej strefie wpływów.

Okoliczności w jakich przygotowano i sposoby przeprowadzenia tych „wyborów”

określają wyraźnie ich antydemokratyczny charakter. Wyniki „wyborów” tego rodzaju są albo po prostu sfalszowane, albo rządy na ich podstawie powołane nie są nadal prawdziwym wyrazem woli narodu. Są wynikiem nacisku okupanta.

Charakterystyczny jest fakt, że wybory na Węgrzech, znajdujących się całkowicie pod władzą ZSRR, zostały przeprowadzone przy zachowaniu pozorów demokracji, podczas gdy w Jugosławii, gdzie nie ma sowieckich wojsk okupacyjnych, wybory odbyły się w atmosferze terroru politycznego i oszustwa. Fakt ten tłumaczyć można tym, że na Węgrzech stwarza się dla opinii świata na razie pozór istnienia rządu demokratycznego i metod demokratycznych. Kraj ten i tak jest w praktyce opanowany gospodarczo i politycznie przez Sowiety, czego widocznym znakiem jest obecność wielkiej rosyjskiej armii okupacyjnej. Jugosławia natomiast jest jednym ze zwycięskich państw sprzymierzonych i jako taka formalnie nie podlega bezpośredniej okupacji żadnego z wielkich mocarstw. Moskwa nie pozwala tam sobie na eksperymenty, a osiągnięcie swych celów pragnie zapewnić w Jugosławii przez dyktaturę totalną. To są powody, dla których wybory na Węgrzech przeprowadzono przy pozorach demokracji, podczas gdy w Jugosławii przygotowano je i przeprowadzono znanymi metodami, przy zastosowaniu na pierwszym miejscu kłamstwa i podstępów.

Rzekomo demokratyczny rząd węgierski Zoltan Tildégo, znajdujący się pod całkowitą kontrolą sowieckiej armii okupacyjnej, nie wiele będzie mógł uczynić wbrew woli okupanta. Ponadto Węgry to jeden z najbardziej zrujnowanych ekonomicznie krajów w Europie. Kraj ten w wyniku ostatniego „układu handlowego” z Rosją Sowiecką został jej całkowicie podporządkowany. Wiadomo ponadto, że na Węgrzech zwycięska partia drobnych posiadaczy, uzyskawszy 62 % mandatów, musiała się zadowolić 50 % tek, a szereg ministerstw kluczowych, jak np. spraw wewnętrznych, musiała oddać komunistom lub sowieckim agentom.

W Jugosławii natomiast przy braku dużych okupacyjnych sił sowieckich rząd typu węgierskiego mógłby się okazać zgubny dla bezpośrednich interesów sowieckich.

Dla zrozumienia charakteru „wyborów” w Europie Wschodniej należy poznać atmosferę w jakiej przygotowano i prze-

prowadzono ostatnie wybory w Jugosławii, jako że machinacje wyborcze w Jugosławii można uznać za wzorzec bolszewickiej taktyki w formalnie niepodległych państwach sowieckiej sfery wpływów.

Rząd jugosłowiański jest całkowicie opanowany przez partię komunistyczną, a każdy obywatel czujnie obserwowany przez tajną jugosłowiańską policję — OZNA, która na stanowiskach decydujących ma bezpośrednich agentów sowieckiego NKWD. Cała prasa opozycyjna została zlikwidowana. Do tego dochodzą przepełnione więzienia i obozy koncentracyjne, masowe egzekucje nie-komunistów, rozstrzeliwanych pod zarzutem faszystów, czy współpracy, ponoszenia odpowiedzialności za zbrodnie wojenne, lub pod zarzutem reakcyjności. W Jugosławii trwał od 8 miesięcy przed wyborami straszliwy terror w najbardziej masowych i udoskonalonych formach.

Przyniósł on w rezultacie wszystkie psychologiczne efekty tego politycznego systemu. Szerokie masy ludowe psychicznie i fizycznie terroryzowane traciły coraz bardziej możliwość posiadania własnego sądu i własnej woli. Wielu opanował po prostu strach, strach o życie, strach przed wszystkim i przed każdym.

Po wyłączeniu opozycji od udziału w głosowaniu wprowadzono dla opozycji tajnej pokusę głosowania przez podstęp „urny opozycyjnej”, czyli drugiej urny wyborczej bez listy kandydatów, przy czym dla wyborców było obojętne, ile ta druga urna zbierze głosów. Doliczenie głosów z „urny bez listy” do głosów w urnie rządowej było dla komisarzy komunistycznych kwestią przesypania kulek wyborczych z urny do urny, jako że nie było właściwej kontroli. Nie było ani mężów zaufania opozycji, ani kontroli międzynarodowej. Znany jest fakt, że podczas gdy komunistyczny rząd przyznał się do klęski wyborczej listy rządowej tylko w trzech prowincjach Słowenii, to w rzeczywistości lista poniosła całkowitą klęskę w wyborach w całej Słowenii z wyjątkiem miasta Lublana. Nie potrzeba dodawać, że w dniu wyborów zastosowano przymus w stosunku do tych, którzy nie wykazali chęci brania udziału w głosowaniu, zwłaszcza w miastach. Większość mieszkańców miast zgromadzono w ustalonych punktach, skąd poprowadzono ich do lokali wyborczych.

Podobnymi metodami wyreżyserowano 98 % głosów oddanych na jedną listę rządowego „Frontu Ojczyźnianego” w Bułgarii. Jest rzeczą zbędną mówić o

machinacjach wyborczych w Albanii, gdzie po prostu wozy rządowe zwoziły wyborców do lokali wyborczych, lub o „wyborach” w Czechosłowacji, gdzie oficjalni kandydaci rządowi zostali w sposób „demokratyczny” wybrani na publicznych zebraniach „przez aklamację”.

W swej treści i formie wybory w Jugosławii, Albanii, Bułgarii itp. są wierną kopią znanych wyborów hitlerowskich: cały aparat totalistycznego państwa zostaje oficjalnie zaangażowany w kampanii wyborczej na rzecz jedynej listy rządowej. W samym dniu wyborów każdy prywatny dom lub budynek publiczny musi być ozdobiony co najmniej jedną flagą, mobilizuje się wszystkie środki transportowe, na ulicach grają orkiestry, audycje radiowe przerywają rządowe slogany propagandowe, wszędzie odbywają się demonstracje, parady, defilady itp. Z tej piekielnej atmosfery przymusu i obłudy ledwie może umknąć mieszkaniom dalekiej wioski.

Mimo różnorodności szczegółów, w gruncie rzeczy nie widzimy nic nowego w sowieckich oszustwach wyborczych w Europie Środkowo-Wschodniej.

Zasada jednej listy, która jest zawsze podstawą sowieckiej metody wyborczej, została wypracowana w roku 1935 w ZSRR, jako narzędzie do niweczenia liberalnych frazesów stalinowskiej konstytucji. Słynny „stalinowski blok komunistów i bezpartyjnych” zamienił przepisy konstytucji w parodię, nie mającą prócz nazwy nic wspólnego z wyborami.

W krajach Bałtyckich i Polsce Wschodniej w latach 1939-41 widzieliśmy bolszewicką taktykę przy zamianie niepodległych państw okupowanych na sowieckie republiki.

Poprzez kolejne stadia: obsady garnizonami wojskowymi, rozległej demagogicznej agitacji i wreszcie fałszowanych zgromadzeń narodowych — doprowadzano do „uchwał” o przyłączeniu do Związku Sowieckiego. Narody te rzekomo z własnej woli śpieszyły likwidować swą niepodległość i prosiły o przyjęcie ich pod cudzą opiekę.

Nic się w sowieckich metodach nie zmieniło od tego czasu. Zostały one tylko udoskonalone.

Pamiętamy np., jak w Łotwie w roku 1940 przed „wyborami”, prasa znajdująca się już pod całkowitą kontrolą sowiecką, ogłosiła z tryumfem: „...Liga Ludu Pracującego obejmuje wszystkich uczciwych

przedstawicieli wszystkich klas ludności. Nie może być żadnej innej listy kandydatów poza Ligą, w której są reprezentowane wszystkie pozytywne i twórcze elementy narodu”.

Nie zdziwiło nas przeto, gdy po pięciu latach 16 lipca 1945 r. w Słowenii p. Kidric, przewodniczący słoweńskiego rządu krajowego, a zarazem sekretarz generalny słoweńskiej partii komunistycznej, oświadczył publicznie: „nie ma w Słowenii innej organizacji politycznej niż „Front Wyzwolenia”, wszystkie łowiem wstąpiły do „Frontu Wyzwolenia” i tylko on może przemawiać imieniem Słowenii”.

Oto ideał sowieckiej demokracji, której głosiciele ustawicznie podkreślają, że nic wspólnego nie mają ze „zgniłą demokracją zachodu” jak to oświadczył m. in. Tito w swej deklaracji powyborczej dla korespondentów zagranicznych.

Nie powinna zwać nikogo taktyka wyborów typu węgierskiego. Tam reżyser moskiewski ukrył tylko starannie swoje właściwe cele.

Trudno przeto zrozumieć, jak po tym wszystkim część opinii publicznej świata w dalszym ciągu jest gotowa uznawać, że „sowieckie wybory” są drogą do normalizacji życia i wyrazem wolności. Jakkolwiek nazywa propaganda sowiecka swoje działania — nie mogą one zastąpić prawdziwej woli narodów i nie przestają być zwykłym tej woli fałszerstwem.

Narody znajdujące się w sowieckiej strefie wpływów, mimo wprzęgania ich w tę czy inną formę aktu wyborczego, są dziś w niewoli sowieckiego imperializmu.

Jedyną drogą do demokracji i wolności w ujarzmionej połowie Europy jest całkowite wycofanie armii sowieckiej i obcej administracji, jawnych i ukrytych agentów komunistycznych, a przywrócenie prawa narodów do urządzania swego życia według własnej woli. Wówczas tylko będzie można mówić o wolności myśli, słowa, prasy, zgromadzeń, o bezpieczeństwie osobistym, słowem o pełnej wolności politycznej i osobistej.

Dopiero w warunkach przywróconej wolności narody Europy Środkowo-Wschodniej będą mogły osiągnąć własne prawowite władze, potwierdzić je w wyborach, lub wybrać nowe.

Stosowanie półśrodków jest bezcelowe. Droga wyprasania u Rosji poszczególnych mniejszych ustępstw, zamiast odsunięcia Rosji w ogóle — musi zawieść. Upomina-

nie się dziś o jeden kraj, jutro o tego lub innego uwiecznionego działacza — nie da wyników. Kraje nasze stanowią jedność. Żaden z naszych narodów nie pragnie dziś okupienia swej wolności zepchnięciem drugiego w ramy sowieckiego imperium. Otrzyaliśmy znowu straszącą lekcję historii. Wiemy, że nie ma wolności w Chorwacji, gdy nie ma jej w Estonii. Gdyby nawet było możliwe chwilowe rozszerzenie strefy wolnej Europy przez przesunięcie jej słupów granicznych np. z zachodniej na wschodnią granicę Węgier czy innego kraju — nie pomogłoby to na długo. Nie ma bezpieczeństwa dla jednego z naszych krajów, dopóki inne są w niewoli.

Albo będą stworzone nowe warunki, sprzyjające rozwojowi prawdziwej demokracji i siły we wszystkich naszych krajach, albo połowa Europy pozostanie tym, czym jest obecnie, tzn. odskocznią dla dalszego pochodzenia totalistycznego bolszewizmu. Nieopanowana dziś jeszcze przez sowiecki imperializm pozostała część Europy nie potrafi mu się długo oprzeć. Wszystkie narody Międzymorza podzielą los trzech państw bałtyckich, a Europa Zachodnia znajdzie się z kolei w takiej sytuacji, w jakiej dziś są: Jugosławia, Polska czy Bułgaria.

Przykład wyborów austriackich (5 % głosów na listę komunistyczną) powinien być dostatecznym dowodem, jak się układa opinia publiczna tam, gdzie nie ma wyłącznego nacisku sowieckiego. Wybory austriackie dowodzą ponadto, jak przy zetknięciu się z sowiecką rzeczywistością i jej ludźmi przychodzi zrozumienie, że idea komunistyczna w ręku totalistycznego państwa nie ma nic wspólnego z walką o postęp społeczny. Dowodzą wybory austriackie, że, gdy w życiu codziennym naród europejski zetknie się z praktyką bolszewicką, poznaje prawdziwą istotę komunizmu, jako narzędzia imperializmu.

Naszym narodom na Międzymorzu nie dano nawet takich warunków, w jakich mógł wypowiedzieć się naród austriacki.

Widzimy jak w ostatnich kampaniach wyborczych i w przygotowaniu następnych np. w Polsce, czy Rumunii, prawdziwe patriotyczne siły naszych narodów nie szczędzą wysiłków, by próbować wydrzeć z rąk okupanta tę czy inną dziedzicę życia, lecz widzimy również jak sowiecka taktyka polityczna i reżyseria wymieszały nasze narodowe siły z elementami prowokacyjnymi i własnymi agenturami.

Wielka jest odpowiedzialność zachodniego świata. Odpowiada on za to, czy kampanie wyborcze, w ich liczbie i te najgroźniejsze, prowadzone w warunkach pozornej, względnej swobody, posłużą tylko Związkowi Sowieckiemu do ujawnienia politycznych ośrodków życia w naszych krajach, by je potem bezwzględnie zniszczyć, czy też upomni się świat zachodni o swych braci Europejczyków i nie pozwoli, by ci, co dziś ujawniają się w walce politycznej na Międzymorzu, poszli śladami naszych braci z Litwy, Łotwy, Estonii, Ukrainy, Białorusi i Polski Wschodniej, strasznym szlakiem męczeństwa na Sybir i północ rosyjską.

Spełniliśmy nasz obowiązek informując szczerze o prawdziwym stanie rzeczy. Videant Consules!

Nie chcemy unikać powiedzenia światu pełnej gorzkiej prawdy w imieniu naszych maltretowanych narodów. Stwierdzamy przeto: za maskaradę wyborczą, przesłaniającą niewolę i terror w krajach Międzymorza, odpowiada nie tylko rząd sowiecki, będący właściwym reżyserem na tej scenie, ale są również współodpowiedzialne mocarstwa zachodnie, w szczególności — anglosaskie. Odpowiedzialne są one bowiem za cały układ rzeczy, w którym możliwe są tego rodzaju fałszerstwa woli narodów, oraz za jawne lub milczące uznawanie wyników tych wyborów za podstawę politycznej władzy.

Narody nasze już raz czekały — niestety bezskutecznie — na zwycięskie armie alianckie, które by z Zachodu przyniosły wolność. Nie czekaliśmy jej zresztą z założonymi rękoma. Walczyliśmy o wolność każdy w miarę sił, aż do najwyższych szczytów bohaterstwa — jak w powstaniu Warszawy.

Dziś narody nasze znowu czekają na głos i czyn potężnych aliantów zachodnich, którzyby położył kres politycznej maskaradzie uprawianej na naszych ziemiach i przerwał proces niszczenia, czy okaleczenia naszych narodów.

Nie wierzymy w walkę kartką wyborczą o niepodległość. Kartka wyborcza jest narzędziem legalnej walki wewnątrz wolnego, demokratycznego państwa, nie zaś walki z zaborcą w atmosferze ucisku. Nie wierzymy w walkę kartką wyborczą, gdyż widzimy, chociażby na przykładzie naszych ukraińskich i białoruskich braci, że reżim sowiecki posługuje się czasowym rozluźnieniem ucisku, a nawet pobudzaniem uczuć narodowych, ażeby ujawniwszy

właściwe twórcze siły narodu, tym bezwzględniej je likwidować.

Na ziemiach naszych narodów trwa straszna, bezwzględna walka na śmierć i życie. Ukazujemy jej istotę poprzez zasłonę „demokratycznej” frazeologii. Celem sowieckich rządów na Międzyomorzu jest zawsze likwidacja samodzielnej kultury narodowej, okaleczenie, a często i fizyczna zagłada naszych narodów.

Walczyć o naszą wolność i niepodległość będziemy we wszelkich warunkach. Nie ustaniemy w walce, choć moc przeciwnika tak wielka, a nasze siły poderwane tyłami latami zmagani.

Nie chcemy, by niewolę naszych narodów przestaniały fałszywe wybory.

Pozostając na wolności, zabraliśmy głos, by ostrzec naszych braci i świat zachodni przed możliwością uczynienia z pseudo-wyborów na Międzyomorzu — jeszcze jednego narzędzia ucisku.

Za Prezydium Klubu Federalnego Śród-
kowo-Europejskiego Rzym:

/—/ dr. Miha Krek, przewodniczący,

/—/ Juliusz Poniatowski, z-ca przewod-
niczącego,

/—/ dr. Cyryl Żebot, sekretarz generalny.

Ofensywa sowiecka na Bliski Wschód

Niezmienną wytyczną polityki zagranicznej Rosji jest dążenie do ciepłych mórz, a najważniejszym przejawem tej dążności jest wola opanowania Turcji. Od czasów Piotra Wielkiego trwa rosyjski napór na Bosfor, który jeden z ministrów tego monarchy określił jako „wewnętrzne jezioro rosyjskie”. W roku 1792 minister rosyjski Danilewski formułował wyraźnie cele dążeń polityki zagranicznej swego kraju: „Prawo Rosji do przeprowadzania okrętów z Morza Czarnego na Morze Śródziemne nie jest niczym innym, jak prawem wyjścia z własnego podwórka na najszerzy świat”. W ciągu 150 lat, które od tego czasu minęły, ekspansja rosyjska ku ciepłym morzom przybierała różne formy, w zależności od tego w jaki sposób Rosja oceniała swe siły i swe możliwości jej urzeczywistniania. Po pierwszej wojnie światowej, która zepchnęła Rosję z wielkiej areny światowej, ambicje te jakby przycichły i nie przybierały zewnętrznych form realizacji. Po drugiej wojnie światowej, gdy w pełni skryształizowała się rosyjska idea imperialistyczna, odwieczne rosyjskie dążenie do ekspansji na Bliski Wschód i na Morze Śródziemne wyraziło się z nieznaną dotąd w dziejach Rosji intensywnością. Wylot na Morze Egejskie uzyskany za pośrednictwem „zaprzyjaźnionej” Jugosławii, oraz utworzenie autonomicznego państwa azerbejdżańskiego stwarzają dla Rosji dogodne przesłanki dla realizacji jej dążeń. Narzuca się tylko konieczność prze-

łamania pewnych obiektyw, jakie tym dążeniom stawia Turcja. Propozycje, jakie temu krajowi stawia Rosja i od których przyjęcia uzależnia nowy „pakt przyjaźni”, mają bardzo znajomy posmak. Są one pewną zapowiedzią niebagatelnych zmian na Bliskim Wschodzie i na Morzu Śródziemnym.

APOSTOŁOWIE RELIGII POLITYCZNEJ

Nowa ofensywa dyplomatyczna Moskwy nie jest dla świata niespodzianką. Poprzedził ją szereg posunięć, z których jednym z najbardziej charakterystycznych dla wojennych metod działania politycznego, było zjednoczenie w r. 1944 ośmiu wschodnich patriarchów prawosławnych pod przewodnictwem cerkwi rosyjskiej; tej cerkwi, której niekoronowaną głową jest Stalin i która — odmiennie niż na Zachodzie Europy — bynajmniej nie jest oddzielona od państwa sowieckiego.

Podobne posunięcia dokonane zostały w stosunku do wyznania muzułmańskiego, wręczniętego, podobnie jak cerkiew, w służbę interesów państwowości sowieckiej. I po raz pierwszy w dziejach Rosji Sowieckiej starannie wyselekcjonowani przedstawiciele wyznań prawosławnego i muzułmańskiego swobodnie odbywali pielgrzymki do świętych miejsc, rozjeżdżając po całym Bliskim Wschodzie i rozwijając przy tej sposobności szeroko zakrojone apostołstwo, nie tyle może na rzecz swych kościołów, ile

na rzecz tej religii politycznej, której stolicą apostolską jest Moskwa.

ORĘDOWNICZKA UCIEMIĘŻONYCH

Innym świadectwem wzmożonych zainteresowań powojennych Rosji dla zagadnienia Bliskiego Wschodu była jej postawa wobec kontrawersji francusko-brytyjskiej w Syrii. Tu Rosja ochoczo wzięła na siebie rolę pośredniczki i protektorki, tę rolę, która się zawsze okazuje tak wdzięczną w konfliktach międzyimperialnych.

Przyjmując tę rolę, rząd sowiecki okazał się wiernym kontynuatorem najlepszych tradycji dawnego imperializmu rosyjskiego. W ten właśnie, a nie inny sposób, carowie przyłączali do „macierzy” rosyjskiej daleko-wschodnie prowincje chińskie i w ten sposób rozszerzali swą sferę wpływów na Bałkany.

Dzisiaj — a bardziej jeszcze zapewne w przyszłości — Rosja będzie wyzyskiwała sprzeczności interesów między krótkowzrocznymi państwami zachodnimi. Występując jako orędowniczka ideałów wolności, będzie podsycała niepokoje w krajach kolonialnych i mandatowych, i kiedy doprowadzi je do wrzenia, energię wynikającą z tego stanu będzie włączała we własne motory. To też leży w sferze tradycji rosyjskich — choć już nie tak dawnych. Hasło wolności ludów kolonialnych — to taran, którym już porewolucyjna Rosja rozbijała solidarność państw „kapitalistycznych”. Narzędzia, które wówczas miały służyć dziełu rewolucjonizowania świata, stają się dziś — nieco zmodernizowane i wypolerowane — instrumentami odwiecznego imperializmu rosyjskiego.

U ŹRÓDEŁ NOWEGO LIBERALIZMU SOWIECKIEGO

W ostatnich czasach obserwatorzy wydarzeń politycznych stwierdzili pewien zwrot w postępowaniu Rosji w stosunku do krajów leżących w sferze jej wpływów. Istotnie, w olbrzymiej orbicie europejskiej od Bałtyku do Adriatyku, do Morza Czarnego, daje się zaobserwować pewnego rodzaju zliberalizowanie polityki rosyjskiej, tolerowanie, a nawet do pewnego stopnia popieranie, orientacji politycznych, przeciwstawiających się dążeniom komunistycznym i reżimom, pozostającym pod kontrolą Moskwy. Widzialnym przykładem tej zmiany było utworzenie bardziej „reprezentacyjnego” rządu w Rumunii.

Czy należy — za przykładem niektórych

komentatorów politycznych — upatrywać w tym przejaw dobrej woli Moskwy i zwyciężającą tendencję demokratyczną do ukonstytuowania rządów, odpowiadających woli zainteresowanych ludów? Czy może — jak chcą inni — jest to wyraz oddziaływania bomby atomowej i większej pojedynawczości Moskwy w stosunku do „sprzymierzeńców zachodnich”? Ani jedno, ani drugie.

Rosja bynajmniej nie dąży do sprawiedliwości czy do zadowolenia aspiracji narodów bałkańskich. Nie objawia również bojaźni bomby atomowej, bo żadne znaki na niebie i na ziemi nie wskazują dotąd, by państwa angosaskie objawiały skłonność do wyzyskania jej przeciw Rosji czy to w charakterze narzędzia militarnego, czy politycznego.

„Demokratyzacja” rządów bałkańskich — przez utrzymanie zresztą kluczowych pozycji politycznych w rękach ludzi, posłusznych woli Moskwy — odpowiada innym potrzebom polityki rosyjskiej. Przez pozorne i czasowe osłabianie nacisku politycznego — przy równoczesnym popieraniu rewindykacji krajów bałkańskich w stosunku do państw zachodnich, a przede wszystkim państw, które jak Włochy, Grecja, Turcja uchylają się od kontroli Rosji — polityka sowiecka zdążyła do osłabienia prestiżu i pozycji strategicznych Anglii. Jest to jeden z aspektów szeroko zakreślonego planu izolowania Anglii i osłabienia jej przeciwdziałania przy realizowaniu zamysłów sowieckich na Bliskim Wschodzie.

WIELKA STAWKA ANGLII

Jeżeli Anglia nie przestała już być Wielką Brytanią — jeżeli nie zatraciła jeszcze całkowicie swych ambicji wielkomocarstwowych — to dążeniom sowieckim na Bliskim Wschodzie będzie musiała przeciwstawić się z całą stanowczością.

Napór rosyjski na tym terenie tak niebezpiecznie naciska na sam rdzeń systemu nerwowego Imperium Brytyjskiego, tak silnie zagraża jego najżywotniejszym liniom komunikacyjnym, — tak podminowuje jego najważniejsze pozycje obronne, że wyrzeczcie się tych pozycji z tą samą niepojętą obojętnością, z jaką Wielka Brytania zrezygnowała ze swych wpływów w Europie Środkowo-Wschodniej — byłoby chyba równoznaczne z samounicestwieniem się, z przekreśleniem własnej wielkomocarstwowości.

Otóż — jakkolwiek dziwne mogłoby się to wydawać — reakcja brytyjska na te działania sowieckie, noszące nieomylnie piętno jednolitego i konsekwentnego planu, wydaje się całkiem niewspółmierna z intensywnością i dynamizmem polityki rosyjskiej. Pewnie, że nikt w Anglii nie próbuje przesłaniać ponurej prawdy optymistycznymi frazesami. Konflikt sowiecko-angielski istnieje nie tylko w rzeczywistości, ale i w świadomości społeczeństwa angielskiego. Wydaje się jednak, że w Anglii pogodzone się już ze stanem rzeczy jednostronnie wytworzonym w Persji. Wydaje się, że dążenia polityki brytyjskiej ograniczają się już w tej chwili do wywołania na Rosji „gwarancji”, że *fait accompli* w Azerbejdżanie nie będzie tylko wstępem do dalszych zmian, podminowujących brytyjskie pozycje na Bliskim Wschodzie.

DLACZEGO WYBUCHŁA TAMTA WOJNA?

Konferencja moskiewska oceniana jest w Anglii jako nowa i dołkliwa porażka dyplomatyczna. Jedno z pism angielskich, oceniając rezultaty konferencji, pisało sarkastycznie, że jedyną jej zdobyczą było odkrycie, że najwłaściwszym sposobem osiągnięcia zgody państw zwycięskich, jest stosowanie polityki strusiej; często określano konferencję moskiewską jako nowe Monachium. Ale czyniąc te niewesołe odkrycia, pisma angielskie nie zdochywiają się na zdecydowany głos protestu przeciw tej nieustannej polityce ustępstw na rzecz Rosji, polityce stosowanej przez państwa, które dysponują drugoczną przewagą militarną, wyrażającą się w fakcie posiadania przez nie — nie posiadanej przez Rosję — bomby atomowej.

„Taktyka sowiecka — pisze organ partii rządzącej „Daily Herald” — dziwnie przypomina taktykę stosowaną przez Hitlera w latach poprzedzających rok 1939. Rosja ma jednak całkiem odmienne dążności i jej linię postępowania wyznacza nie zamysł aneksjonistyczny lub dążenie do potęgi, ale jedynie mniej lub więcej usprawiedliwione obawy o własne bezpieczeństwo. Byłoby jednak dobrze, gdyby sobie Rosja uświadomiła, że obrona przez nią linia działania podważa wiarę w uczciwość jej dążeń.

Stawiając coraz nowe żądania swym sąsiadom, Rosja igra z ogniem, albowiem nie można przewidzieć jakie będą reakcje małego państwa, które nie chce ulec żądaniom sowieckim. I będzie rzecz

właściwą przypomnieć, że przyczyną świeżo zakończonej wojny była odmowa Polski spełnienia żądań niemieckich. Naród turecki jest równie dumny jak naród polski”.

OBREĆCZ PRZYJAŹNI

Jest rzeczą wątpliwą, by na politykę sowiecką oddziaływały tego rodzaju reminiscencje historyczne. Prasa angielska posługiwała się już nimi w okresie „rozwiązywania” sprawy polskiej. Ale wydaje się, że właśnie dzieje tamtego okresu — piękne sukcesy, osiągnięte przy realizowaniu „mniej lub więcej usprawiedliwionych” celów własnego bezpieczeństwa — stanowią dla Rosji zachętę i bodziec dla rozwinięcia pełnej energii w działaniu.

Zresztą mój Boże, o cóż tu chodzi w tej całej rozgrywce perskiej i tureckiej? O nic przecież innego, niż o przyjaźń. Prawda, że przyjaźń w rosyjskim słowniku politycznym ma odcień znaczeniowy nieco odmienny, niż w krajach „kapitalistycznych”. Przyjaźń po sowiecku oznacza konieczność uczynienia pewnych ustępstw terytorialnych na rzecz Rosji, przyznania temu krajowi pewnych przywilejów ekonomicznych i militarnych, podjęcia współpracy z innymi krajami „zaprzyjaźnionymi”. Współpracy, skierowanej przeciw każdemu państwu, które chciałoby się przeciwstawić postulatом politycznym Rosji.

Rosja zdołała już zapewnić sobie „przyjaźń” Polski, Rumunii, Jugosławii, Bułgarii, Albanii. Na olbrzymich terytoriach od Finlandii do Adriatyku panuje już niepodzielnie atmosfera życzliwego i serdecznego zrozumienia dla tego, co Rosja uważa za swoje konieczności życiowe („Lebensraum”) i za względy swego bezpieczeństwa. Ale w obręczy „przyjaźni” zaciskającej Europę — brak jeszcze ognia tureckiego.

SKROMNE ŻYCZENIA

Polska za przyjaźń sowiecką zapłaciła połową swego terytorium. Od Turcji żąda się znacznie mniej. Zaledwie kilkaset kilometrów kwadratowych terenu, obejmujących Artvin, Olti, Tartum, Ispir, Bayburt, Trebizondę, Giresun. I przyznać należy, że w skali kosztów przyjaźni, przedkładanych w Europie środkowo-wschodniej, żądania terytorialne w stosunku do Turcji nie powinny być poczytywane za nadmierne. I Rosja ma pełne prawo do domagania się od Anglii również współczującego stanowiska jak to, które wobec niej zostało

zajęte z powodu Polski. Względy bezpieczeństwa Rosji na Bliskim Wschodzie są na pewno niemniej ważne niż w Europie środkowo-wschodniej. Jeżeli chodzi o względy historyczne, Rosja może przytoczyć niezbity fakt, że na reklamowane obecnie terytoria miała już apetyt w roku 1877. A względy etnograficzne! Zapewne, nie są to już bracia-Słowianie, ale zawsze są bracia-Muzułmanie. A czyż Kurdowie, Osecińcy, Kabardianie, Karapapacy i inne szlachetne nacje azjatyckie nie są godne tego, by dzielić los swych pobratymców, żyjących „zamożnie i kulturalnie” na wolnej ziemi sowieckiej?

„ZURÜCK ZUM REICH”

I oto syją się apele do wszystkich Armeniczyków, rozsypanych po świecie, pędzących nędzną egzystencję w Egipcie, Stanach Zjednoczonych, Grecji i Stambule, aby czym prędzej wracali do „wielkiej Armenii”, otwierającej nową, wspaniałą kartę swych dziejów. Oto głowa Kościoła Ormiańskiego żąda przez radio, by dla tego miliona Armeniczyków, mającego po tyłowikowej tułaczce powrócić do macierzy, przywrócone zostały „odwieczne armeńskie” ziemie. Oto dwaj „uczni” występują z listem, udawadniającym, że dziewięć okręgów północnej Turcji, rozciągających się wzdłuż brzegu czarnomorskiego i przylegających do Gruzji, są historyczną kolebką tego narodu starożytnego, który wydał Stalina; pełna zadziwiającej erudycji argumentacja artykułu, opierająca się na największych autorytetach naukowych, poczynając od Herodota, stwierdza w konkluzji, że ze wszystkich ciemiężycieli Gruzinów Turcy byli najgorsi. Oto wreszcie głowa Kościoła Kurdów, ogłasza nieprzedawnione „prawa” tego rozmiłowanego we własnej przeszłości i własnej kulturze ludu do niepodległego istnienia, i oczekiwania, że tych górnych aspiracji następstwem będzie gigantyczna ruchawka, która obejmie i Turcję, i Persję, i Syrię i Irak, ten ostatni z bezcennymi bogactwami naftowymi i niemniej bezcennymi liniami strategiczno-komunikacyjnymi.

Powtarzamy, że, obiektywnie rzeczy oceniając, należy przyznać, że rewindykacje sowieckie w stosunku do Turcji nie są ani na jotę mniej uzasadnione, niż np. tak chwalebnie zrealizowane aspiracje do wschodniej części Polski. Można tylko uczynić uwagę, że w oparciu o tak ujęte kryteria etnograficzne, cała Azja i przynajmniej połowa Europy winna przyspać w

udziale Związkowi Sowieckiemu. Na terytorium tego Związku mieszkają przedstawiciele wszystkich niemal ras ludzkich, którzy mają słuszne prawo domagać się wyzwolenia swych braci, znoszących przesładowania w diasporze.

INNE KOSZTY „PRZYJAŹNI”

Ustępstwa terytorialne nie są jedyną ceną za „przyjaźń” ZSRR. Rosja chce mieć swoje bazy w Bosforze i Dardanelach, przy czym w razie wojny te pozycje byłyby wspólnie brnione przez oba zaprzyjaźnione państwa. Narzuca się pytanie: brnione przeciw komu? Niemcy są wyłączone jako możliwy napastnik. W grę więc wchodzić może tylko Wielka Brytania, albo Stany Zjednoczone, albo te państwa razem.

Tak więc, aby zapewnić Rosji najdogodniejsze pozycje strategiczne w wypadku konfliktu zbrojnego z Wielką Brytanią i Stanami Zjednoczonymi, dwa te państwa zapraszane są do zajęcia przychylnego stanowiska wobec żądań rosyjskich na Bliskim Wschodzie. I — stwierdzić należy to — nie brak tych myślicieli politycznych, ogłaszających się za trzeźwych realistów, którzy zalecają swym rządom pozytywne ustosunkowanie się do tak umiarkowanych „względów bezpieczeństwa”.

Przecie żądanie Moskwy — to „przyjaźnie usposobiony rząd” w Turcji. Wiadomo, co to znaczy rząd przyjazny — to taki, który jest powolny w każdym względzie inspiracjom Moskwy. Dodajmy nawiasem, że podobny postulat wysuwa Rosja w stosunku do Persji. Nie tylko nie myśli zrezygnować ze swej wspaniałej kreacji, jaką jest zaprzyjaźnione i autonomiczne państwo azerbejdzańskie, ale domaga się również „reorganizacji” gabinetu teherańskiego, odpowiednio do swoich koncepcyj przyjaźni, zrealizowanych chwałebnie w tylu krajach Europy.

KTO TU JEST FASZYSTĄ?

W obecnej ofensywie przeciw Turcji propaganda sowiecka uderza w jeszcze jeden dobrze znany ton. Oskarża rząd turecki o to, że zasiadają w nim agenci faszystowscy, co w sowieckim języku dyplomatycznym oznacza osoby, które nie zawsze zdecydowane są aprobować bez dyskusji wszelkie dezideraty polityczne Moskwy.

Radio moskiewskie, nawiązując do ostrej reakcji premiera tureckiego na odkrycia historyczne „uczonych” gruzińskich oś-

wiadcza, że reakcja ta jest nieomylnym dowodem, że Turcja zdaje się być bardzo daleka od wyrzeczenia się swej „pro-faszystowskiej polityki” i że „za przykładem swego mistrza, Franco, obecni rządcy tureccy liczą, iż ich postawa znajdzie życzliwe zrozumienie w pewnych kołach zagranicznych. Wzmianka o pewnych kołach dotyczy zapewne sprzymierzeńców zachodnich. W Moskwie liczą się z tym, że mogą się oni okazać na tyle faszystowscy, by podjąć obronę nienaruszalności i suwerenności tego państwa, które stało się takie małe w świecie, rządzone przez wielkie mocarstwa, a które mimo to nie pogrzyżło się dotąd w otchłani „wpływu” swego wielkiego sąsiada.

MIEDZY TOTALIZMEM A DEMOKRACJĄ

Wobec wzrastającego nacisku Rosji, Turcja zapowiada gotowość walki do ostatniej kropli krwi, o każdą piędź ziemi. Ale Turcja ma siły ograniczone. Nie brak też w świecie pesymistów, którzy jej wróżą los Czechosłowacji. Są i tacy, co się z tym godzą, jako z koniecznością naszych czasów. Twierdzą, że dla uratowania pokoju żadna cena nie jest zbyt wysoka.

Nieprzyjemne analogie! Okres pomona-chijski rozbrzmiewał próżnymi modlitwami Chamberlaina o pokój. Dziś podobne modlitwy rozbrzmiewają wokół zebrań Wielkiej Trójki. Ale same modlitwy nie zapobiegną przemianom, od których zależy pokój.

Jeżeli Turcja stanie się pastwą Imperium Sowieckiego, to nad niezmiernymi zasobami ludzkimi i materialnymi Europy,

Azji i Afryki zamknie się obręcz dominacji rosyjskiej. Nad potęgą imperialną Wielkiej Brytanii rozpostrze się mrok.

Tragizm sytuacji polega na tym, że w obronie podstaw swego istnienia wielkomocarstwowego, Anglia jest dziś osamotniona.

Oto smutne następstwa stref wpływów i sfer zainteresowań! Dla Ameryki Bliski Wschód nie jest strefą wpływu, ani sferą zainteresowania — przynajmniej politycznego. Stany Zjednoczone nie widzą tu wspólnoty swych interesów z interesami brytyjskimi — czasem upatrują ich antagonizm (nafta!).

W świadomości amerykańskiej sprawa supremacji Stanów Zjednoczonych na Dalekim Wschodzie jest tak doniosła, że dla zapewnienia jej tryumfu, warto może nawet poprzeć żądania rosyjskie na Bliskim Wschodzie. I istotnie: rezultatem konferencji moskiewskiej było złagodzenie tarć na Dalekim Wschodzie — gdzie interesy amerykańskie kontrastują z sowieckimi — i utrzymanie, lub zwiększenie naporu sowieckiego na Bliski Wschód, gdzie istnieje antagonizm interesów brytyjskich i sowieckich. „Sukcesy” moskiewskie Byrnes’a — inicjatora konferencji — były tam najwidoczniej okupione koncesjami na rzecz Rosjan na Bliskim Wschodzie.

Ameryka odpokutuje za krótkowzroczność swych polityków. W ich oczach walka o Dardanele fałszywie się przedstawia, jako obojętny dla nich konflikt dwóch imperializmów, a nie jako to, czym jest w istocie: jako zagadnienie wyboru między totalizmem a demokracją.

Andrzej Olendzki

Ojciec nasz... (*)

Ojciec nasz, któryś jest w niebie..
W ciszy niedzieli i powszednim chlebie,
W łanie pożarów i zdarzeń popiele,
W szumie sitowia i rozmowach pasiek,
W krzyku rozpaczonym i bitwy hałasie,
W wiejskiej kaplicy i złotym kościele.

Ojciec mój, któryś jest w drodze,
Tej, którejś z krzyża błogosławił codziennie,
A którą zbrojny przemierza dziś człowiek;

Ojciec bezkresnej wędrówki tułaczey,
Czczony błuźnierstwem i ostatnim płaczem,
Ojciec mój, któryś jest w słowie,

Ojciec mój, któryś jest w pieśni,
Tej, co na szanłcach broniła nas Września,
Tej, której głosów tchną nadzieją dzwony,
Tej, którą dałeś opatrzenie na burze...

Ojciec mój, którego nie ujrzę
Bądź pochwalony.

Artur Międzyrzecki

*) Z przygotowywanego do druku tomiku poezji, jaki ukaze się w najbliższym czasie nakładem „Na szlaku Kresowej”.

Co z Niemcami?

KONCEPCJE OGÓLNE

Uregulowanie zagadnienia niemieckiego na Konferencji Poczdamskiej, jak się okazało, przedstawia tylko wartość ściśle teoretyczną. Wprowadzenie w życie tych zasad napotkało na wielkie trudności, zarówno natury praktycznej jak też formalnej. Ogólne postanowienia mówiące „o zniszczeniu militarystyki pruskiej i niemieckiego przemysłu” nie miały już w samym swoim założeniu gwarancji co do ich wykonalności. Brak sprecyzowanej jednolitej polityki wydał już swoje owoce. Każde z czterech mocarstw okupujących terytorium niemieckie prowadzi swoją własną politykę, pozostającą w silnym kontraście nie tylko ze sobą, lecz nawet z ogólnymi postanowieniami poczdamskimi. Z chaosu politycznego i gospodarczego, który panuje obecnie w Niemczech, można już dziś z całą pewnością stwierdzić, że główną przyczyną nieporozumień między aliantami jest zagadnienie ekonomicznej przyszłości Niemiec. W tym zagadnieniu wyłoniły się dwie koncepcje:

- 1) „jednolitego obszaru gospodarczego”, oraz;
- 2) „poszczególnych obszarów gospodarczych”.

Od przyjęcia tej czy innej koncepcji będzie zależało polityczne rozwiązanie problemu niemieckiego. Omówienie ogólne tych koncepcji w pewnym stopniu może pomóc do zrozumienia obecnej sytuacji w tym kraju oraz umożliwi wyciągnięcie pewnych wniosków co do przyszłości gospodarczo-politycznej Niemiec.

POKÓJ TWARDY CZY UMIARKOWANY

Deklaracja poczdamska przewiduje „eliminację lub kontrolę całego przemysłu niemieckiego, który mógłby być użyty do produkcji wojennej”. Natomiast produkcja „metali, wyrobów chemicznych, maszyn oraz innych artykułów, które są bez wątpienia potrzebne dla gospodarki wojennej musi podlegać surowej kontroli, lecz nie eliminacji”. I tutaj właśnie na tle, co ma być „wyeliminowane” a co „kontrolowane” powstało pierwsze nieporozumienie między aliantami. Te nieporozumienia zbiegają się całkowicie z poglądami zwolenników pokoju „twardego” i pokoju „umiarkowanego”.

Rosjanie są zwolennikami pokoju „twardego” i, jak się wydaje, w ich strefie okupacyjnej nastąpiła rzeczywiście całko-

wita „eliminacja” przemysłu niemieckiego, który został po prostu przewieziony do Rosji. Anglicy natomiast mają punkt widzenia całkowicie odmienny, proponują łagodne traktowanie pobitego nieprzyjaciela. Amerykański zaś punkt widzenia dzieli się na dwa całkowicie przeciwstawne sobie poglądy. Francuzi mają swój własny projekt: umiędzynarodowienie Zagłębia Ruhry i ewentualnie Basenu Reńskiego, a więc tego obszaru gospodarczego, gdzie została skoncentrowana większość ciężkiego przemysłu niemieckiego.

WAŻNOŚĆ HANDLU ZAGRANICZNEGO

Jedna grupa amerykańska, której programem stała się tzw. „relacja Draper-Hoover”, przedłożona rządowi trzech mocarstw do rozpatrzenia — utrzymuje, że deklaracja poczdamska nie może być wykonywana, ponieważ Niemcy muszą posiadać swój własny eksport prawie równy przedwojnemu, jeżeli się chce utrzymać minimalną stopę życiową mieszkańców, oraz jeżeli naród niemiecki ma ponosić koszty okupacji wojennej. Grupa ta, która przygotowała ten plan, miała do niedawna na czele Calvin Hoover'a, słynnego ekonomistę amerykańskiego, profesora uniwersytetu w Duke. Hoover, będąc radcą gospodarczym gen. Drapera, szefa sekcji ekonomicznej Komisji Kontrolnej Niemiec, stał się właściwym twórcą tego projektu. Przeciwnicy „planu Hoover-Draper” twierdzą, że projekt ten jest inspirowany przez kapitał amerykański, zaangażowany w przemysł niemieckim. Senator Harley N. Kilgore, szef parlamentarnej komisji dla spraw wojskowych stwierdził, że 171 przedsiębiorstw amerykańskich posiada swoje inwestycje w 278 przedsiębiorstwach niemieckich, na ogólną sumę 420.600.000 dolarów. Odwrotnie, przemysłowcy niemieccy, szukając pewnego zabezpieczenia swoich kapitałów, lokowali je przeważnie w przemyśle amerykańskim. Półść kapitału niemieckiego w Stanach Zjednoczonych jest skromnie oceniana na 154.000.000 dolarów, które zostały zarekwirowane podczas wojny tylko przez jeden „Urząd Opieki nad własnością zagraniczną”. Ministerstwo zaś Skarbu ze swej strony zarekwirowało kapitał niemiecki na ogólną sumę około 7 miliardów dolarów. Poza tym do grupy zwolenników utrzymania przemysłu niemieckiego, a więc „planu Hoover-Draper”, należy

zaliczyć także i tych polityków i ekonomistów amerykańskich, którzy obawiają się Rosji bardziej, aniżeli Niemiec i pragną odbudowy tego kraju, ażeby tym samym stworzyć bastion antykomunistyczny w Europie Środkowej.

ROSYJSKI PUNKT WIDZENIA

W przeciwieństwie do podzielonych opinii amerykańskich oraz w ogóle alianckich, Rosjanie posiadają program ściśle opracowany. Głównym elementem ich projektu jest zagadnienie definicji pojęcia „zbyteczny” jako podstawy do redukcji przemysłu niemieckiego, która w praktyce pociągnęłaby za sobą całkowite zniszczenie wielkiego przemysłu. Rosjanie żądają, ażeby pod pojęcie „zbyteczny” podpadały te przedsiębiorstwa niemieckie, które zatrudniają powyżej 3000 robotników, oraz te, które posiadają kapitał zakładowy powyżej 25.000.000 Rm. Przedstawiciele brytyjscy w Komisji Kontrolnej idą raczej na pewnego rodzaju kompromis, żądając wprowadzenia nowych elementów do określenia pojęcia „zbyteczny”.

W Parlamencie angielskim w ostatnich czasach zaznaczyła się silna krytyka sposobu, w jaki zostaje wprowadzona w życie „deklaracja poczdamska”. Krytyka ta pochodzi z kół konserwatystów jak i Labour Party. Wpływowy „*London Economist*” utrzymuje, że kontrola przewidziana uchwałami w Poczdamie „będzie prawdopodobnie niemożliwa w zastosowaniu”. Niemcy — według tego pisma — muszą posiadać wysoki stopień uprzemysłowienia, ażeby zapewnić skromną stopę życiową ludności, która znacznie wzrosła na skutek nowych granic niemieckich. „*London Economist*” proponuje, ażeby został wprowadzony tylko zakaz połączeń z kontrolą w odniesieniu do produkcji zbrojeniowej.

MORGENTHAU - BARUCH

Były amerykański minister skarbu, Morgenthau, w wydanej niedawno przez siebie książce pt. „*Niemcy naszym problemem*” uprzedza Stany Zjednoczone, ażeby w swojej polityce wobec Niemiec nie popełniły tych samych błędów, co po pierwszej wojnie światowej. Według opinii Morgenthau'a „zblizamy się szybko do niebezpieczeństwa popełnienia tego samego błędu”. Projekt Morgenthau'a przewiduje zniszczenie ciężkiego przemysłu niemieckiego: metalowego, przekształcenie Niemiec w kraj wyłącznie produkcji chemicznej oraz elektrycznej, rolniczej; umiędzynarodowienie Zagłębia Ruhry oraz utworzenie dwóch państw:

północno — i południowo — niemieckiego z tego, co pozostanie z obszaru Niemiec po wszystkich rewindykacjach terytorialnych.

Natomiast wydaje się być mniej krajowy punkt widzenia Barucha, osobistego doradcy prezydenta Trumana. Otóż według niego Niemcy muszą być pozbawione tylko przemysłu wojennego. Pozostała zaś produkcja przemysłowa byłaby kontrolowana i wykorzystywana dla dobra całej Europy, która obecnie ma olbrzymie zapotrzebowanie na towary, niezbędne dla jej odbudowy. Przyszłe zbiory w Niemczech muszą już wykazać — zdaniem Barucha — całkowitą samowystarczalność rolniczą kraju. W następnych latach produkcja przemysłowa musi osiągnąć taki stan, ażeby móc zapewnić ludności stopę życiową nie wyższą, aniżeli w krajach sąsiednich. Jednocześnie musi następować proces odradzania aktywności przemysłowej w innych krajach Europy, lecz w ten sposób, ażeby on nie był uzależniony od Niemiec, a zwłaszcza od gotowych już produktów niemieckich. Poza tym Baruch domaga się, ażeby została powołana do życia Najwyższa Komisja Gospodarcza nie tylko dla Niemiec, lecz dla całej Europy. Ten projekt Barucha cieszy się wielkim powodzeniem w Stanach Zjednoczonych. Znalazł on także poparcie we wpływowym „Związku Polityki Zagranicznej” w Stanach Zjednoczonych, którego prezesem jest generał Frank Ross Mac Coy. Związek ten stanął na stanowisku, że jest mało pożądane, ażeby nastąpiło „wykoślawienie” tego przemysłu niemieckiego, który nie posiada znaczenia wojennego. Zachowanie przemysłu w Niemczech jest koniecznością „nie tylko dla samych Niemiec, ale także z punktu widzenia gospodarki ogólnoeuropejskiej”.

PLAN FRANCUSKI

Główną linią wytyczną polityki francuskiej w odniesieniu do Niemiec jest obawa przed odrodzeniem Rzeszy. Motywem przewodnim tej polityki staje się zagadnienie „bezpieczeństwa”. „*New York Post*” z dnia 5 grudnia ub. roku, omawiając politykę niemiecką Francji pisał: „Czy to z tytułu reparacji wojennych, czy też dla bezpieczeństwa, Francuzi żądają aneksji zagłębia Saary wraz z bogactwami węglowymi. Stanowi to ich jedyną rewindykację terytorialną w odniesieniu do Niemiec. Zawsze pod kątem widzenia odškodowań i bezpieczeństwa żądają umiędzynarodowienia zagłębia Ruhry”. Powołana w tym celu Komisja Międzynarodowa, w skład której wchodziłaby i Rosja, zajęła-

by się podziałem węgla, koksu i stali pośród wszystkie państwa sprzymierzone Europy Zachodniej i Wschodniej, łącznie z Niemcami.

Poza tym Francja proponuje utworzenie niepodległej Nadrenii. To państwo początkowo pozostawałoby pod opieką Francji, Belgii, Holandii i W. Brytanii. Powstanie Państwa Nadreńskiego mogłoby się stać podstawą do zawarcia szerszego porozumienia w Europie Zachodniej. Poza tym rząd francuski stoi na stanowisku, że Niemcy muszą wrócić do swego stanu polityczno-państwowego z epoki przedbismarckowskiej. Ten punkt widzenia znajduje silne poparcie generałów francuskich z De Tassigny na czele. Niemcy, zdaniem Paryża, muszą być podzielone na cztery lub pięć państw niezależnych.

ZŁUDZENIA PANA MORGER'A

Z ciekawymi projektami w odniesieniu do Niemiec oraz Francji występuje Jean Morger, senator z Aveyon w swoich trzech artykułach opublikowanych w „Le Monde”. „Kto posiada węgiel — posiada Europę, utrzymuje Morger, dlatego też należy go odebrać Niemcom”. Ponieważ jest niemożliwe przeniesienie pokładów węglowych, dlatego też „trzeba zniszczyć i odbudować poza obrębem Niemiec cały niemiecki przemysł żelazny i chemiczny”. Każde inne rozwiązanie tego problemu staje się bezużyteczne, a odszkodowania, których się żąda, nie byłyby niczym innym, jak jeszcze jednym złudzeniem, tak, jak to miało miejsce po pierwszej wojnie światowej. Pozostaje do rozwiązania jeszcze sprawa ludności Niemiec, której liczba jest nadal bardzo znaczna, bo sięga 65 milionów mieszkańców.

Dla Morger'a sprawa ta jest łatwa: Niemcy muszą się stać krajem górników i rolników. We Francji odczuwa się szalony brak rąk roboczych i siły napędowej. Należy zamienić węgiel na energię elektryczną. W tym celu byłoby wskazane zbudowanie potężnej sieci rozprowadzającej, zdolnej dostarczyć Francji energii elektrycznej od 2 do 3 milionów kilowatów rocznie. W związku z tymi projektami należy powiększyć ludność Francji o 10 do 15 milionów mieszkańców drogą emigracji włoskiej i niemieckiej. Ta emigracja nie przestrasza Morger'a, który uważa, że będzie bardzo korzystne dla kraju zasymilowanie „blondynów” czyli Niemców.

„We Francji my wszyscy jesteśmy zbyt wielkimi południowcami — mamy za dużo wina, a za mało węgla”. To powiedzenie

polityka francuskiego posiada charakter niewątpliwie bardzo symptomatyczny. W dalszym ciągu Morger podkreśla z naciskiem: „Jeżeli mi powiedzą, że Niemcy nie zechcą emigrować do Francji, ponieważ nie znajdują tam warunków do życia, do których są przyzwyczajeni, ja odpowiedziałbym również, że to zależy wyłącznie od Francuzów, którzy stali się narodem bogatym i mogą ofiarować przybyszom i samym sobie zadawalające warunki życia”.

Poza tym przewiduje on utworzenie Związku Państw Zachodnich, które mogłyby skutecznie wykorzystać bogactwa naturalne zagłębia Ruhry i Saary. Podstawą organizacyjną tego Związku Państw byłyby układy gospodarcze, które posiadałyby także i swój ciężar polityczny.

OBAWY SZWAJCARI

„Journal de Genève” z dnia 20 grudnia 1945 r. odnosi się krytycznie do wszystkich projektów francuskich zarówno oficjalnych jak też i tych, które nie wykraczają jeszcze poza ramy pobożnych życzeń. „Ci panowie — pisze pismo — przemawiają w imieniu Francji, oraz także z myślą o innych narodach, sądząc, że te przekształcenia będą zdolne do zabezpieczenia pokoju”. Takie rozwiązanie stworzyłoby w sercu Europy rejon proletariatu, ponieważ robotnik niemiecki musiałby wybrać albo wyjazd z kraju, albo też stać się górnikiem, czy też rolnikiem bez żadnego doświadczenia fachowego. „Na tym właśnie — podkreśla „Journal de Genève” — zerują komuniści... Idzie to po ich linii życzeń. „Takie przekształcenie gospodarczo-populacyjne narodu niemieckiego może posiadać konsekwencje wprost tragiczne dla całej Europy”.

„FARBENINDUSTRIE” OTOCZONE CIĄGLE MGŁĄ TAJEMNICY

Niemiecki kartel chemiczny, skoncentrowany wokół „Farbenindustrie” jest ciągle przedmiotem żywych dyskusji prowadzonych zarówno w świecie ekonomicznym jak i politycznym. Linią przewodnią tych dyskusji jest obawa, że „Farbenindustrie” może z łatwością przystąpić na nowo do produkcji wojennej w przeciągu 6 miesięcy. Okres ten mógłby nawet ulec redukcji, gdyby zakłady te posiadały pod dostatkiem surowców. Dotychczas, jak podają raporty Eisenhoversa, zostały zniszczone tylko dwa zakłady z całego tego kartelu. Takie właśnie wykonywanie uchwał konferencji Poczdamskiej, która przyrzekała solennie zniszczenie całego przemysłu wojennego Niemiec, wywołuje poważne zaniepokojenie w nie-

których kołach politycznych, które wykazują tym większe zdenerwowanie, że obecnie po upadku Niemiec wyszły na jaw fakty, które kompromitują całkowicie przemysł i monopol państwowy Stanów Zjednoczonych. „New York World Telegraph” z grudnia 1945 roku pisał, że „Farbeindustrie” wykorzystywało swoje stosunki z monopolem amerykańskim, ażeby otrzymać niezbędne materiały dla prowadzenia wojny. W ten sposób udało się firmie uzyskać wszystkie tajemnice potrzebne do produkcji benzyny i gumy syntetycznej. Jak się okazuje, niemiecki przemysł chemiczny rozpoczął już przygotowania do wojny w roku 1933. Jak wynika z tajnych dokumentów „Farbeindustrie”, te wszystkie tajemnice zostały uzyskane dzięki aprobachie Ministerstwa Wojny w Waszyngtonie. Obecnie cały przemysł chemiczny w Niemczech pozostaje teoretycznie pod kontrolą Alianckiej Komisji Kontrolnej z siedzibą w Berlinie. Praktycznie zaś biorąc — pozostaje on w zakresie kontroli W. Brytanii i Stanów Zjednoczonych. Wywołuje to specjalne zaniepokojenie Moskwy, która się obawia, że przemysł ten może być lub też już jest wykorzystywany dla celów wojennych mocarstw zachodnich. Dlatego też ZSRR sprzeciwiło się energicznie amerykańskiemu projektowi wysłania do Niemiec 2.500.000 bal bawełny dla przemysłu włókienniczego, ściśle związanego z kartelem „Farbeindustrie”. Jednak tym obawom sowieckim zaprzecza ostatni raport gen. Eisenhovern; został on sporządzony przed jego powrotem do Stanów Zjednoczonych. Generał oświadczył, że produkcja przemysłowa w amerykańskiej strefie okupacyjnej wynosi tylko 5 % zdolności produkcyjnej tego przemysłu. Nie możemy mieć żadnych obaw — podkreślił — co do szybkiej odbudowy potencjału wojennego Niemiec”.

REFORMY SOWIECKIE

Tymczasem Rosja Sowiecka na swoich terenach okupacyjnych prowadzi śmiałą politykę ekonomiczną i socjalną, nie zwracając wcale uwagi ani na deklaracje poczdamskie, ani na wskazówki i postanowienia Alianckiej Komisji Kontrolnej w Berlinie. Jak podaje „Herald Tribune”, szef wydziału rolniczego w rządzie niemieckim rosyjskiej strefy okupacyjnej, Edwin Hoernle oświadczył, że „proces rewolucyjny likwidacji majątków junkrów pruskich wydał jak najlepsze rezultaty”. W przeciągu trzech miesięcy zostało skonfiskowanych i rozdanych chłopom 1.648.898 ha ziemi. W ten sposób powstało według jego

oświadczenia około 300.000 nowych małych gospodarstw rolnych. Zostały zlikwidowane latyfundia von Moltke, von Schlieffen, von Hindenburg, Tirpitz, Brauschitz, von Rundstedt.

Odbywa się to wszystko przy głośnej kampanii propagandowej pod hasłem „ziemia dla wszystkich”. Według komunistycznego „Deutsche Volkszeitung” władze prowincjonalne sowieckiej strefy okupacyjnej udzielają drobnym rolnikom kredytów w wysokości 3.000 marek na zasiew i na użyźnienie ziemi. Jednak pożyczka ta musi być spłacona po zbiorach w roku 1946. Spłacanie może się odbywać w naturze lub w gotówce. Wydaje się jednak, że raczej zostanie wydana ustawa o spłacie w naturze. W takim wypadku nawet całe zbiory mogą być przelane na własność władz prowincjonalnych, a ściślej mówiąc — na rzecz Rosji. W związku z takimi zapędami reformistycznymi Rosji Sowieckiej inny dziennik niemiecki „Ruhr Zeitung” (z 21. XII. 45) w tej reformie rolnej przeprowadzanej w tak błyskawicznym tempie dopatruje się usiłowań idących w kierunku jak najszybszej sowietyzacji. Został wydany specjalny dekret, nakazujący oddanie wszystkich maszyn rolniczych jak traktorów, lokomobil, sieczkarek, żniwiarek itp. do specjalnych depozytów samorządowych. Te depozyty będą wypożyczały maszyny rolnicze poszczególnym grupom rolników. „Jest to pierwszy widoczny krok do kolektywizacji” — stwierdza „Ruhr Zeitung”.

OBCENA SYTUACJA FINANSOWA RZESZY

Doskonały opis obecnej sytuacji finansowej i ekonomicznej Niemiec zamieszcza szwajcarskie pismo „Die Tat”. Cechą jej jest olbrzymi spadek wartości pieniądza. Zaznaczył się szczególnie silnie w ostatnich tygodniach. Przyczyna tego zjawiska leży z jednej strony w obniżce cen na czarnym rynku, a z drugiej zaś w popycie na pracę ze strony ludności, która staje się coraz bardziej pożądlivą w gromadzeniu pieniędzy. To zaznacza się przeważnie u najbiedniejszych warstw, które pragną stworzyć sobie warunki chociażby minimalnej egzystencji. Istnieje w Niemczech olbrzymia dysproporcja między obfitością pieniądza, a brakiem artykułów codziennego użytku, oraz między wartością nabywczą pieniądza a wartością towaru. Taki stan rzeczy, do którego należy jeszcze dodać gigantyczny dług Niemiec (około 800.000.000.000 marek) i wielki popyt na pieniądze, spowodował całkowity chaos finansowy i gospodarczy.

W celu zapobieżenia inflacji i zmniejszenia długów Rzeszy, niemieckie władze finansowe (przy Alianckiej Komisji Kontrolnej) zdecydowały nałożenie podatku na wszelkie kapitały, a specjalnie na „majątki nazistowskie”. Podatki te mają wynosić od 20 % do 80 % wartości majątku. Jak się przewiduje, w ten sposób da się powstrzymać inflację i zredukować dług Rzeszy prawie do połowy. Specjalny dział finansów niemieckich stanowi zagadnienie odszkodowań wojennych. Według opinii większości, możliwości płatnicze Rzeszy muszą być kalkulowane w oparciu o siłę nabywczą pieniądza, a nie o kurs oficjalny. Jednak ten pogląd został obalony przez komisję ekspertów, która stwierdziła, że odszkodowania mają być spłacane w oparciu o nominalną wartość pieniądza. W związku z tym należy zrównoważyć bilans państwowy, ponieważ deficyt prowadzi do inflacji. Jakże jednak zostaną powzięte zarządzenia w tej sprawie — trudno jest obecnie przewidzieć.

PROJEKTY POLITYCZNE W ODNIESIENIU DO NIEMIEC

Poza wyżej wymienionymi projektami organizacji politycznej Rzeszy, jak plan Morgenthau'a podziału Niemiec na dwa

państwa, lub też projekt francuski utworzenia niepodległej Nadrenii oraz kilkunastu innych państweczek, największą sensację wywołał projekt włączenia północnych Niemiec do Imperium Brytyjskiego na tych zasadach, na jakich jest oparta budowa Commonwealth'u. Poza tym krążą pogłoski, jakoby władze alianckie nosiły się z zamiarem utworzenia niepodległej Bawarii, do której zostałyby przyłączone na zasadach autonomicznych Baden i Württemberg. Wymienia się nawet Wittelsbachów, jako ewentualnych sukcesorów starej korony bawarskiej. Jednak co do tych projektów brak dotychczas dokładnych danych. Wydaje się być raczej bliższa prawdy wiadomość, jakoby ma być zachowana jedność Rzeszy z niewielkimi zmianami terytorialnymi, pomijając włączone już do Polski wschodnie połacie Niemiec. Pewne potwierdzenie tej wiadomości może stanowić fakt o mającym już nastąpić w najbliższym czasie powołaniu jednolitej niemieckiej administracji z siedzibą w Berlinie. Jakże będzie stanowisko Rosji Sowieckiej w tej sprawie — trudno jest w danej chwili przewidzieć. Raczej należy przypuszczać, że posiada ona swoje własne plany polityczne, od których łatwo nie odstąpi.

Michał Janiszewski

Mała zgoda za Wielkim Murem

Jednym z największych i najbardziej brzemiennym w skutki posunięciem politycznym prezydenta Trumana jest wezwanie narodu chińskiego do unifikacji.

Prezydent Truman w dniu 16 grudnia 1945 roku wezwał Chińczyków do zaprzestania walk pomiędzy sobą jeśli chcą, by Stany Zjednoczone pomogły im zwalczyć trudności ekonomiczne. Podkreślił, że Chińczycy muszą dążyć do zjednoczenia swojego kraju w kierunku demokratycznym. Prezydent dodał, że istnienie czerwonej armii chińskiej czyni jedność polityczną niemożliwą. Według jego zdania, wszystkie siły zbrojne w Chinach muszą być scalone w chińską armię narodową, ale z drugiej strony podkreślił, że obecnie jednopartyjny rząd musi być rozszerzony tak, aby do niego mogły wejść inne elementy polityczne.

Prezydent Truman obiecał, że Stany Zjednoczone, pomimo interwencji wojskowej, nie będą wspomagały jakichkolwiek wewnętrznych walk chińskich. Zaznaczył

natomiast, że wojska amerykańskie będą używane do rozbrownienia, oraz ewakuacji Japończyków z terenów chińskich.

Dla umożliwienia przeprowadzenia kroków wstępnych do pogodzenia się komunistów chińskich z nacjonalistami, prezydent Truman mianował ambasadorem Stanów Zjednoczonych w Chinach generała George Marshall'a.

Centralny rząd chiński, zarówno jak i koła komunistyczne, przyjęły z uznaniem deklarację prezydenta Trumana nawołującą do politycznej konsolidacji i zakończenia wewnętrznej walki.

Oświadczając, że polityka Trumana odnośnie Chin zbiega się z ich własną — rząd Chiang Kai Sheka stwierdził, że w kierowaniu państwem wezmą udział wszystkie elementy polityczne, zgodnie z ideałami współczesnej demokracji. Zgadza się on także, że wszystkie armie autonomiczne muszą być usunięte.

Komuniści wyrazili nadzieję, że deklaracja Trumana będzie moralnym oparciem

dla „Rady Pokojowej”, która będzie zbierała się w Chung King dla rozwiązania politycznych i militarnych kwestii, dotyczących komunistów i Rządu Centralnego.

O ile chodzi o obydwa odłamy społeczeństwa chińskiego dotychczas zwalczające się, to ich dążenia do jedności pokojowej zdają się być szczere. O tym świadczyć może pierwsza konferencja odbyta wspólnie przez przedstawicieli komunistów, nacjonalistów i Z. S. R. R. w sprawie założenia chińskiej administracji w Mandżurii, pozostającej pod sowiecką kontrolą.

Zadawalające rezultaty dała również konferencja w Chang Chun nad metodami obrony Mandżurii i ugody „*en principe*” w problemie zaopatrywania chińskich sił zbrojnych.

Na konferencji prasowej Chou En Lai, leader komunistycznej delegacji dla północno-chińskich rozmów pokojowych oświadczył dziennikarzom, że komuniści będą żądali jawnych wyborów powszechnych do Zgromadzenia Narodowego.

Podkreślił on, że zgromadzenie, które było zwołane przed wojną chińsko-japońską nie było reprezentantem ludu chińskiego.

Kiedy 20 grudnia 1945 roku przybył generał George Marshall do Chung Kingu, prawie natychmiast rozpoczął konferować z leaderami komunistycznymi i nacjonalistycznymi, poczem oświadczył, że sporo czasu upłynie zanim uzyska właściwy obraz Chin. Leaderzy ci zostali zaznajomieni przez generała Marshalla z programem polityki amerykańskiej w Chinach, główne punkty której są następujące:

- 1) Stany Zjednoczone będą uznawały rząd Chiang Kai Sheka jako legalny i jedyne „właściwe” narzędzie do unifikacji Chin.
- 2) Modyfikacja systemu jednopartyjnego i wprowadzenie innych politycznych elementów do rządu. Walki muszą ustać natychmiast, aby dać możliwość zebrania się Radzie Narodowej, złożonej ze wszystkich głównych elementów politycznych.
- 3) Autonomiczna armia komunistyczna będzie wcielona do armii narodowej.
- 4) Uzbrojone siły japońskie, na których Chiang Kai Shek oparł utrzymanie północnych Chin przeciw komunistom, muszą być rapatriowane natychmiast.
- 5) Amerykańskie pożyczki i rady techniczne będą udzielane Chińczy-

kom w dziedzinie agrarnej, przemysłowej i wojskowej.

Prawie natychmiast po przyjeździe generała Marshalla komuniści oświadczyli, że są gotowi przedstawić na piśmie formalnie i oficjalnie ich propozycje natychmiastowego i bezwarunkowego zawieszenia broni. Są oni gotowi nie tylko zaprzestać walki, ale również są przygotowani do zrobienia całego szeregu ustępstw w interesie trwałego pokoju. Rzeczywiście, w kilka dni później, komuniści złożyli oficjalne pisemne propozycje pokojowe Rządowi Centralnemu.

W dniu pierwszego stycznia br. rząd Chiang Kai Sheka odpowiedział na plan komunistów, aprobując go całkowicie i proponując, aby generał Marshall odgrywał rolę arbitra i żeby misja wojskowa służyła jako bezpartyjny obserwator dotrzymywania warunków zawieszenia broni.

Plan zgody komunistyczno-nacjonalistycznej składa się z trzech punktów i mówi:

- 1) Wszelkie kroki nieprzyjacielskie wewnątrz kraju ustaną i komunikacja kolejowa zostanie przywrócona.
- 2) Rząd i partia komunistyczna wyznaczają specjalnych przedstawicieli do konferowania z generałem Marshalllem w sprawach dotyczących kroków nieprzyjacielskich i trudności komunikacyjnych, oraz wywiązywania się Chin z zobowiązań względem Aliantów—odnośnie kapitulacji Japończyków i rapatriacji jeńców wojennych.
- 3) Komitet Politycznej Rady Narodowej wybierze 5 bezpartyjnych obserwatorów tworzących wojskową misję inpekcyjną, której zadaniem będzie obserwowanie militarnej i komunikacyjnej sytuacji w okęgach spornych, oraz wglądanie w sprawy, mające związek z przywróceniem pokoju.

W dniu 4 stycznia komuniści przyjęli ten plan Rządu Centralnego i w dniu 5 stycznia rb. zostało w Chinach ogłoszone oficjalnie zakończenie wojny domowej. Ugoda między komunistami a Rządem Centralnym została załatwiona w 75 minut.

Jako rezultat rozmów w Chung King zostały ogłoszone w Chinach wolne wybory powszechne — pierwsze na przestrzeni 4.000 lat.

Obecna polityka w Chinach daje dużo do myślenia. Przede wszystkim ciekawa jest nagła zmiana postawy komunistów, którzy

po dziesięciu latach wojny domowej i zacieklego oporu zaczęli nagle dążyć do pokoju ze stronnikami Chiang Kai Sheka.

Po raz drugi w przeciągu dziesięciu lat chińscy komuniści zmieniają swoją stolicę. W 1934/5 r. odbyli oni swój sławny „długi marsz” (13.500 km) przesuając się z Chin Centralnych na północny zachód. Ze stu tysięcy maszerujących doszło do celu jedynie dwadzieścia tysięcy i ci założyli kwaterę główną w Ye Nan.

Przed kilku tygodniami umieścili się wokół Kal Gan; tym razem potężniejsi niż kiedykolwiek.

Maszerowali oni w doskonale zorganizowanych warunkach (miejscu odpoczynkowe co 25 kilometrów). Przenieśli ze sobą w karawanach wszystkie swoje instytucje — biblioteki, kolegium medyczne, akademię sztuki, uniwersytet, szkoły. Przesunęli się w ten sposób ponad 800 kilometrów — do Kal Gan.

Kal Gan — jest ich zdobyczą rewolucyjną; leży on przy Wielkim Murze na granicy Mandżurii i sowieckiej Mongolii. To stare miasto strzeże Wielkiego Muru na przełęczy Nan Kow.

Chociaż jeszcze nie ogłoszony stolicą — Kal Gan stał się polityczną i wojskową twierdzą chińskich komunistów. Jego ludność (130.000) jest prawie trzy razy większa niż ludność Ye Nan. Jest to pierwszy w rękach komunistów okręg uprzemysłowiony. Posiadają tu węgiel i żelazo, fabryki samochodów ciężarowych, autobusów, papierosów, likierów, wyrobów kauczukowych. Poza tym jest to także arsenał zawierający olbrzymie składy broni, jakie zostały pozostawione przez Japończyków.

Masowy ruch komunistyczny ostrzega, że dąży do scentralizowania swoich sił w republice chińskiej.

Jasną jest rzeczą, że wszystkie posunięcia komunistyczne są spowodowane wskazówkami z Moskwy. Nie należy myśleć, że Moskwa zapragnęła nagle niepodległości i dobrobytu narodu chińskiego. Jest ona raczej zbyt zajęta i zbyt zaangażowana ofensywą polityczną w Europie i tu musi skierować gros swoich sił wojskowych. Stąd też Rosja zgodziła się z wielką łatwością, aby wojska Chiang Kai Sheka okupowały Mandżurię. I tak Chiny zyskały:

- 1) Chang Chun — stolicę Mandżurii.
- 2) Harbin — centrum kolejowe północnej Mandżurii.
- 3) Dairen — najważniejszy port

mandżurski (gdzie jednak Rosjanie zastrzegli sobie prawa handlowe).

Z tymi trzema miastami, plus arsenał w Muk Denie, rząd Chiang Kai Sheka będzie dzierżył klucze mandżurskiego transportu i przemysłu.

Mandżuria została zajęta przez nacjonalistyczne wojska chińskie bez najmniejszego oporu, gdyż nawet komuniści chińscy otrzymali rozkaz ewakuowania tych okręgów.

Chwilowo Rosjanie pozostawili swoje wojska w Mandżurii, ale na konferencji w Moskwie Mołotow obiecał, że zostaną one wycofane do lutego br. Podkreślić należy, że jest to już trzeci termin opuszczenia Mandżurii przez armię czerwoną.

Że Rosja nie rezygnuje z mieszania się w interesy chińskie i że nie opuściła chińskich komunistów, świadczyć może między innymi niezadowolenie radia moskiewskiego z obecności wojsk Stanów Zjednoczonych w Chinach; zapytało ono, czy fakt ten jest zgodny z chińską suwerennością. Według zdania radia moskiewskiego, obecność wojsk amerykańskich daje chińskim kołom reakcyjnym przesadne wyobrażenie o ich sile i powoduje, że ignorują ona demokratyczne tendencje w chińskim narodzie, a to samo przez się jest brzemiennie w niebezpieczne skutki.

Jak widzimy — polityka sowiecka wszędzie i zawsze stosuje jednakowe metody — zapewnienia przyjaźni dyplomatycznej z jednej strony, a ataki i pogróżki z drugiej (radio i prasa).

Prezydent Truman i jego politycy przewidują, że imperium sowieckie nie zamknie się w dotychczasowych granicach i będzie dążyło do ekspansji politycznej i militarnej zarówno w Europie jak i w Azji. Zgodnie z demokratycznym podejściem do wartości człowieka jako obywatela, ich program polityczny nie ogranicza się do masowego uzbrojenia i wyćwiczenia obywateli, ale widać tam racjonalne planowanie, które ma na celu tworzenie możliwości przeciwstawienia się brutalnej sile sowieckiej.

Znajdująca się w tej chwili na terenach Chin armia amerykańska w liczbie 53.000 marynarzy i 15.000 żołnierzy armii lądowej służyć ma jedynie do rozbrojenia i repatriacji znajdujących się tutaj Japończyków. W tej jeszcze chwili znaczna większość z trzech milionów żołnierzy japońskich, którzy znajdowali się w Chinach w dniu zwycięstwa, czeka jeszcze na transport do Japonii. 250.000 japońskich żołnierzy

zaangażowanych przez Chiang Kai Sheka do ochrony miast i linii kolejowych w północnych Chinach przeciw komunistom jest jeszcze na służbie w pełnym uzbrojeniu. Około 70.000 japońskich techników pracuje w przemyśle Chin północnych, gdzie zatrudnionych jest 1.400.000 Chińczyków. Zrozumiałą jest rzeczą, że obecność takiej liczby Japończyków powoduje konieczność utrzymania na terenach Chin armii alianckiej.

Plan amerykański pragnie stworzyć z 500-milionowej masy chińskiej konsumenta dla przemysłu Stanów Zjednoczonych, a z drugiej strony wyrobić sobie siłę zbrojną z Chińczyków, siłę, która będzie nie tylko zdolna stawić opór Sowietom, ale dobrze uzbrojona i wyekwipowana, potrafi w razie potrzeby zaatakować tego nieprzyjaciela.

Realizacja tego planu została zapoczątkowana już nie od dzisiaj. Tysiące amerykańskich instruktorów technicznych i wojskowych pracują w Chinach. Tysiące młodych Chińczyków studiuje zagadnienia organizacji transportu w Ameryce. Stany

Zjednoczone nie tylko udzielały i udzielają olbrzymich pożyczek republice chińskiej, ale również będą ją wspomagały militarnie. Ostatnio sekretarz Departamentu Marynarki, James V. Forrestale zaproponował, aby posiadaną obecnie nadwyżkę okrętów wojennych Stany Zjednoczone oddały Chinom. „Nadwyżka” wynosi 222 okręty wojenne. Wśród nich jest 6 pancerników, 4 lotniskowce i 11 krążowników. Należy przypuszczać, że Stany Zjednoczone i Wielka Brytania będą unikały wojny wszelkimi sposobami. I choć ta wojna jest nieunikniona, to jednak nie należy się spodziewać, że wybuchnie ona lada dzień. Dlatego też Amerykanie mają nadzieję, że im się uda zrealizować ich polityczno-ekonomiczny plan w stosunku do Chin.

Młoda republika chińska, dzięki inteligentnej i przewidującej polityce Chiang Kai Sheka, której wytyczną było całkowite oparcie się o Stany Zjednoczone, ma szansę z ich pomocą stać się jedną z potęg politycznych.

J. P.

Z KRAJU

Pierwsze dni

I.

Dla tej części Polski, która rozciąga się wzdłuż lewego brzegu Wisły, był przełom roku 1944 i 1945 okresem pełnym napięcia, oczekiwania i niepokoju. Wśród gęsto skupionej w licznych podwarszawskich osiedlach ludności krążyło wiele najrozmaitszych, często sprzecznych, przypuszczeń i pogłosek. Dość powszechnie liczone się z rychłym rozpoczęciem ofensywy zimowej przez armię czerwoną, a w związku z tym oczekiwano ponownego przesiedlenia całej ludności polskiej do przygotowanych już pod Piotrkowem obozów. Niemcy gorączkowo wykańczali nową linię oporu, ciągnącą się wzdłuż Bzury i Rawki. Rozbudowali też umocnienia, a przede wszystkim liczne rowy przeciwczołgowe w najbliższym sąsiedztwie Wisły. Prace te, wykonywane rękami przymusowo spędzanych „ochotników”, rozpoczęło wczesną jesienią, jeszcze w trakcie Powstania Warszawskiego. W zimie tempo ich wzmożło się wyraźnie. Pod groźbą natychmiastowego wysiedlenia całych osiedli wzywano miejscową ludność do masowego stawiania się w oznaczonych punktach,

skąd wieziono ją na miejsce pracy. Dość często biedni „okopiarze” odstawiani byli do punktów odległych od ich miejsca zamieszkania, gdzie koszarowano ich w nędznych drewnianych barakach, żywiono gorzej niż skromnie i zmuszano do ciężkiej, kilkunasto-godzinnej pracy.

W styczniu wzmogło się też wyraźnie nasilenie ognia artyleryjskiego pobliskiego frontu. Beładna codzienna strzelanina przeradzała się teraz często w huraganowy ogień silnych zgrupowań artylerii, komentowany przez laików bądź jako artyleryjskie przygotowanie do natarcia armii czerwonej, bądź też jako niemiecka zaporą ogniową.

Napięcie rośnie. Między 15 i 17 stycznia wiedziało się już wyraźnie, że Niemcy odступują. Szereg jednostek, a przede wszystkim tabory, wycofywał się pośpiesznie w kierunku zachodnim. 17 stycznia planowy i sprawny odwrót przerodził się w wielu miejscach w paniczną ucieczkę. Szosy i wszystkie drogi zawałone były najrozmaitszymi pojazdami, jadącymi przeważnie beładną gromadą, tarasującymi całe jezdnie, a nawet chodniki. Ogólny chaos

i nastrój paniki potęgowały intensywnie działające myśliwiec sowieckie.

Ten szary i mglisty dzień styczniowy niósł w sobie coś niesamowitego. Niesamowity był już sam obraz dróg i ulic w podwarszawskich miastach, zatłoczonych pośpiesznie gnającymi wozami, usiłującymi wzajemnie się prześcignąć, aby jak najdalej odsunąć się od nieubłaganej następującego frontu. Niesamowity był wyraz bezgranicznego przerażenia w oczach wczoraj jeszcze tak butnych i wszechwładnych żołdaków, dziś myślących już jedynie o ratowaniu własnej głowy z nadciągającej katastrofy. Porzucano wzdłuż dróg części umundurowania, sprzętu, a nawet broni.

Ale właściwie wypełnienie się dnia, nastanie czegoś z dawna oczekiwanego, nadejście faktu, bez którego ten dzień, pełen dramatycznego napięcia, byłby niekompletny, przyniosły godziny popołudniowe. Niemal bezpośrednio za ostatnimi jednostkami niemieckimi sunęły uliczkami miasteczek pierwsze czołgi sowieckie. Przez Pruszków, Włochy, Otrębusy, Komorów, Leśną Podkowę, Milanówek, Grodzisk, Żyrardów, przez licznie rozsiane drobne osiedla podwarszawskie, błyskawicznie, niemal bez wystrzału, przesunął się olbrzymi front. Przewalała się przez nas historia. Szła bezpośrednia groza wojny, niosąca zazwyczaj widmo śmierci, pożogi i zgłiszcza, pozbawiająca ludzi dobytku i dachu nad głową, a dziś zwłaszcza, w obliczu tego cośmy już przecierpeli, jakaś dziwnie teatralna przez swą bezkrwawość i reżyserską niemal sprawność.

Bitew ani nawet potyczek nie było prawie nigdzie. Ot, po prostu, odjechali jedni — przyjechali drudzy. Stało się to tak szybko i tak bezboleśnie, że miejscowa ludność, mimo iż z dawna oczekiwała ofensywy bolszewickiej, nieprędko mogła ochłonąć z pierwszych wrażeń czysto optycznych, któreby dały się porównać do wrażeń widza interesującego obrazu filmowego. Bezpośrednio za tymi pierwszymi wrażeniami przyszło radosne poczucie świadomości, że jednak nas nie zdołano przesiedlić, że nie będziemy już skazani na dalszą tułaczkę, że, bez względu na to, co dalej nastąpi, kończy się dla nas męczący koszmar przeszło pięcioletniej wojny. Po tym dopiero przychodziły refleksje, sięgające głębiej. Poczęło powracać właściwie do tematu od dawna powszechnie i namiętnie dyskutowanego, wszechstronnie i starannie przemysliwanego, który sprowadzał się do prostego, lecz tak dla nas

wszystkich istotnego pytania — czy będzie nam lepiej? Jakże wiele mieściło w sobie to krótkie i bolesne pytanie! Zawierało ono te wszystkie przejawy toku życia zbiorowego, z jakimi się człowiek żyjący w społeczeństwie codziennie na każdym kroku spotyka. Ta gama uczuć sięgała od kwestii odzyskania niepodległego bytu, aż do zagadnienia możliwości napelnienia często pustego żołądka. W tych wszystkich sprawach dość wyraźnie dominował optymizm. Nie znaczy to jednak, żeby ludzie w swej naiwności sądzili, że odtąd będzie już wszystko dobrze i że wojska czerwonej armii przyniosły nam na swych bagnietach wyzwolenie i prawdziwą niepodległość. To był optymizm bardzo skromny i bardzo ostrożny. Przypuszczało się po prostu, że wobec bezmiernego koszmaru pięcioletniej okupacji niemieckiej wszelka zmiana jaka następuje, musi być zmianą na lepsze.

Do nowego okupanta od początku odnoszono się obojętnie i dość nieufnie. Pierwsze olbrzymie czołgi sowieckie, włączające się w wąskie uliczki osiedli, przyjęło z wyniosłym spokojem. Tylko gdzieś niegdzie pojawiały się powiewające w powitaniu białe chusteczki; pojedyncze okrzyki uznania, nie podchwytywane przez nikogo, czym prędzej milkły wstydliwie. Nastrój ulicy był bardzo daleki od entuzjazmu.

To pierwsze zetknięcie z nowym, nieznanym dotąd wojskiem pozostawiło niezatarte wrażenie straszliwej obcości i beznadziejnej szarzyzny. Na tle szarego kończącego się dnia — szare czołgi, szare mundury i szare, beznamiętne i tępe, wszystkie niemal do siebie podobne i wszystkie niemal azjatyckie twarze.

Taki był pierwszy dzień.

A potem przychodziło stopniowe stykanie się z nową rzeczywistością.

Więc najpierw pojawiły się urzędy tzw. komisarzy wojennych. Każde większe miasteczko było siedzibą takiego komisarza — oficera armii czerwonej, sprawującego władzę niemal nieograniczoną, często półanalfabety, często alkoholika. Ukazały się też od razu pierwsze ich zarządzenia, ustalające nową godzinę policyjną, przeważnie według czasu sowieckiego, różniącego się od naszego o dwie godziny, co mogłoby być początkowo przyczyną przykrych niespodzianek, gdyby nie to, że ludność polska, w obawie przed częstymi rabunkami i aktami gwałtów ze strony krasnoarmiejców, i tak nie wykorzystywała w pełni przysługującego jej prawa swobodnego poruszania

się po miastach, starając się w miarę możliwości nie opuszczać domów po zapadnięciu zmroku.

Niemal jednocześnie wyrosły „rady narodowe” i placówki milicji obywatelskiej. Sposób, w jaki obie te instytucje rozpoczęły swą działalność, a zwłaszcza ich skład osobowy, dowodził niezbicie, że były one przygotowywane zawczasu, w okresie okupacji niemieckiej.

Tym niemniej w „radach narodowych” znalazła się pewna ilość osób powszechnie szanowanych i o dość głośnych nazwiskach, które najczęściej ze względów oportunistycznych, ulegając namowom miejscowych matadorów pepeerowskich, przyjęły zaofiarowane im mandaty.

Przybyli pierwsi żołnierze Żymierskiego. Już sam ich wygląd zewnętrzny: kiepskie umundurowanie, orzelki bez korony i z opuszczonymi skrzydłami przy czapkach i wychudzone twarze, a potem rozmowy z nimi, w wyniku których okazywało się często, że wielu oficerów nie zna języka polskiego, wywoływały bardzo gorzkie rozczarowanie. „O Jezu, a cóż to za wojacy?” — śpiewali ukradkiem dowcipnisie warszawscy na widok tych dziwnych polskich żołnierzy. Często jednak okazywało się przy bardziej szczerych i serdecznych rozmowach, że i pod tymi nędznymi mundurami biją prawdziwe polskie serca. Takiego biednego szary żołnierz mawiał z mocą: „Przyjdzie jeszcze czas, że i nasze orły dostaną korony i rozwiną swoje skrzydła”. To znów podnosiło na duchu i napawało wiarą, że przecież szara masa żołnierska nie wyrzeknie się nigdy myśli o prawdziwej niepodległości mimo usilnej propagandy tzw. popów (pełniący obowiązki Polaka — Rosjanin w mundurze polskim).

Przyszły pierwsze wieści z prawego brzegu Wisły o dokonanej na tamtejszych terenach wymianie pieniędzy. Wywołały one nastrój paniki i spowodowały rozpoczęcie dość długotrwałego okresu handlu wymiennego. W pierwszej jego fazie życie gospodarcze i handlowe zamario niemal całkowicie. Tylko bardzo nieliczne sklepy i jadalnie usiłowały normalnie funkcjonować, niemal z reguły wyprzedając resztki zapasów. Niektóre z nich trwały na posterunku, uważając to za swój obowiązek patriotyczny, inne, opierając się na doświadczeniach z okresu okupacji nie-

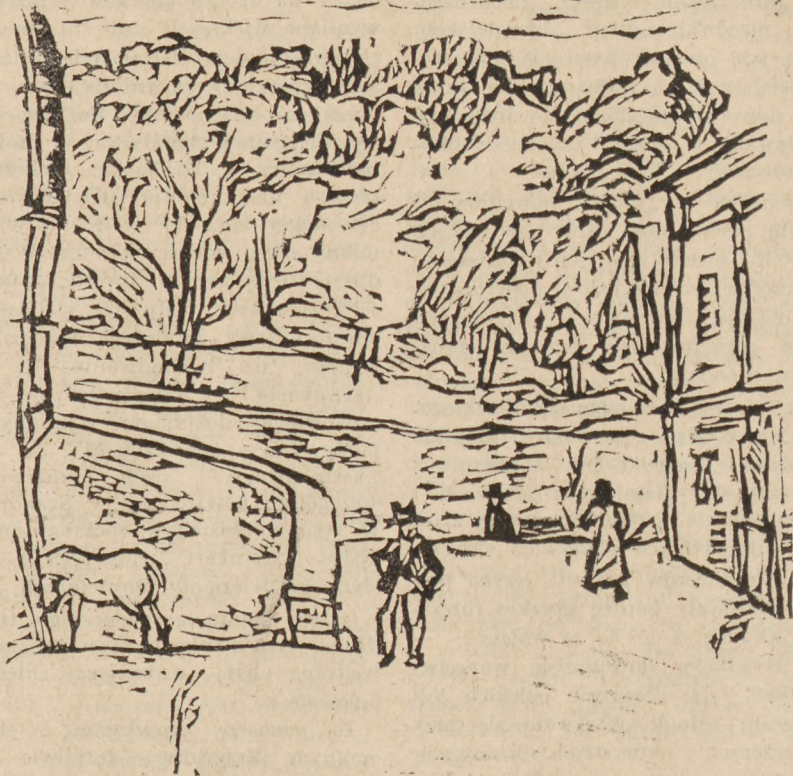
mieckiej, wychodziły z założenia, że nie ma tak drakońskiego przepisu, którego nie dałoby się obejść i liczyły, że można będzie na drodze nielegalnej przeprowadzić wymianę większych sum, niż przewidziane rozporządzeniem 500 złotych na osobę. Bliiska przyszłość przyniosła tym ostatnim gorzkie rozczarowanie. Możliwości wymiany nielegalnej okazały się w praktyce niemal żadne. Tylko bardzo nieliczni dygnitarze i niektóre uprzywilejowane instytucje mogły korzystać z dobrodziejstwa wymiany nieco większych sum. Wszelkie nadużycia były bardzo surowo karane. Najczęściej spotykane nadużycie i dające niemal stuprocentową gwarancję bezkarności, polegające na posługiwaniu się fałszywą „kennkartą” — dawało jedynie możliwość powtórnego dokonania wymiany. Handel fałszywymi „kennkartami”, a zwłaszcza „kennkartami” osób zmarłych, był szczególnie powszechny w Krakowie, gdzie w ręce miejscowych spekulantów wpadły tysiące „kennkart”, złożonych w kancelarii słynnego więzienia Montelupich.

Okres zastoju gospodarczego trwał dość długo, tym bardziej, że wymiana przeprowadzana była nadzwyczaj niemrawo i opieszale.

To pierwsze zarządzenie o charakterze ogólnym, krzywdzące dotkliwie najszerze warstwy ludności, zwłaszcza wiejskiej, wywołało jak najfatalniejsze skutki propagandowe dla rządu lubelskiego. Od początku nie miano też zaufania do nowych banknotów. Było publiczną tajemnicą, że drukowane są one w Moskwie. Dopiero znacznie później uruchomiono w Krakowie drukarnię banknotów, która jednakże ograniczona jest do wypuszczania jedynie drobnych odcinków. Wykonanie i wygląd zewnętrzny tych wszystkich banknotów jest ohydny. Na pięćsetkach razi szczególnie ordynarny błąd gramatyczny w nadruku. Przy wypuszczaniu nowej serii pięćsetek opublikowano w całej prasie ogłoszenia, że banknoty nowej serii nie powtórzą już błędów gramatycznych. Było to niezbędne, gdyż publiczność przyzwyczaiła się już do błędów w nadruku, figurującego zarówno na banknotach prawdziwych, jak i na kilku odmianach banknotów podrobionych.

Rozpoczął się okres terroru.

Krzysztof Wolny



Pejzaż włoski (linoryt)

(Orfeo Tamburi)

Jadąc mimo winnic...

Lan podjęło w larasy — w stosy zbóż ofiarnych.
Krasna krajka na oczach. Milczenie jak knebel.
Wszystko — aby na ziemi zacierać ślad nieba,
Odjąć szczęście jak kromkę i trudem przygarbić!

Złe wieści wiatr przywiewa: Ze dłoń miesi mękę,
Lecz z pszennego ugniotu jedzą chleb nieswoi...
Ze gdy zmierzch jak nietoperz przelata nad łąką,
Staw drętwieje osiką, o kwiaty się boi...

W winogrodowych cieniach nocą — czego szukać?
Pod zachmurzonym niebem w dzień — poco ten wyścig?

Wszystko — by dojść do bramy o tęczowym łuku
I przed sobą mieć uśmiech, za sobą — zawiści!

Bolesław Kобрzyński

Miesiac w krainie absurdu

WJAZD

Na brennerskiej przełęczy zaczyna drobny deszcz ze śniegiem: jest przejmujące zimno. Mały angielski *private* sprawdza dokumenty i przepuszcza wozy — ale my musimy jeszcze załatwić zawitych ceremoniał rewizji w specjalnie w tym celu zainstalowanym polskim urzędzie, — trwa to, oczywiście, nieco dłużej.

Wreszcie skrzywiony sierżant, który grzebiąc w naszych niezliczonych paczkach i skrzyniach z książkami wciąż dopytuje się o koniak, machnął ręką: „no, to już jedźcie panowie!”

Tak wjechaliśmy na teren byłej III Rzeszy.

Nie wiem, czy to jest sprawa sugestii, czy zimna, czy może tak jest w istocie, ale wydaje się, że krajobraz po przewaleniu się przez przełęcz ulega radykalnej zmianie. Z niehotycznych szczytów pokrytych śniegiem schodzą w dół gęste lasy czarno-zielonych świerków, pełną szerokie połoniny. Zupełnie jak w naszych Karpatach.

Po drodze idącej wciąż kręto w dół i w dół, mijamy gdzieś niedługo jakiś pojedynczy rozbity dom, ale jest to mało, diablo mało na nasz gust!

Dopiero na jakiejś stacji kolejowej widzimy całe hektary popalonych i spiętrzonych w fantastyczne zwąły wagonów. Leje od bomb są dziś pełne wody. Trochę dalej zwisają z nasypu kolejowego nad szosą szczątki lokomotywy i długich pulmanów.

Patrząc na tę zerdzewiałą gmatwaninę żelastwa z prawdziwą przyjemnością: to przecież były pociągi niemieckie! Po raz pierwszy zniszczenia wojenne w Niemczech! Ostra nienawiść do Niemców, podobna do tej z czasów wrzesniowego bombardowania Warszawy, znów budzi się we mnie.

Ale dalsza droga nie daje zbyt dużo pokarmu tym moim niehumanitarnym uczuciom. Kraj, przez który jedziemy, jest niemal nietknięty. Olbrzymie lasy drzew na połączonych stokach gór, na połoninach pasą się stada krów i owiec, w mijanych osiedlach, schludnych i zasobnych, tyrolczych w zielonych kapelusikach z piórkami nie robią bynajmniej wrażenia zabiedzonych wojną, uderza masa dzieci — tłustych, rumianych, dobrze ubranych.

Tą górską sielanką dojeżdżamy do kotliny, w której leży jedno z większych miast południowej Austrii.

Tutaj chcemy odnaleźć placówkę Polskiego Czerwonego Krzyża, oficera łącznikowego i — przenocować.

Miasto jest pod okupacją francuskich oddziałów. Informacji o Polakach nikt nie jest w stanie udzielić, — zresztą jak się orientujemy później, nie tylko z winy francuskiego bałaganu. Placówka naszego Czerwonego Krzyża mieści się bowiem daleko w górach za miastem, trwając we wspinałym odosobnieniu i cichej kontemplacji z dala od dokuczliwych rodaków.

Błąkamy się długo po mieście, odsyłani z miejsca na miejsce (zahaczyliśmy nawet o komitet sowieckich Czechów, nie wiadomo dla kogo tu istniejący, bo Czechów jakoś nie widać wcale; chyba — jeszcze jedna zamaskowana sowiecka ekspozytura), aż wreszcie odnaleźliśmy Czerwony Krzyż.

Willa była istotnie piękna, ładny widok na leżące w dole miasto, niegorszy asortyment samochodów osobowych na podwórzu. Z informacjami tylko — i tymi ogólnymi i dotyczącymi noclegu — było gorzej.

Placówka Czerwonego Krzyża okazała się być jakąś bardzo odgórną centralą, nie wchodzącą w żadne szczegóły życia Polaków w Austrii, a oficer łącznikowy, który wyszedł do nas na korytarz, bardzo się śpieszył, zerkając przez uchylone drzwi do swego pokoju. Rozumiejąc tedy, że stanowimy raczej czynnik przeszkadzający i zbędny, — ulotniliśmy się, ażeby urządzić się na własną rękę..

W ten sposób jesteśmy znów w śródmieściu. Tutaj na pryncypalnej ulicy w dwóch najokazalszych, ocalałych od bombardowania, gmachach mieszczą się obok siebie w jednym — dowództwo francuskie, a w drugim — komunistyczna partia Austrii.

Wielka tablica z czerwonym napisem, olbrzymie sierp i młot, olbrzymie portrety Stalina. Myślę: jak się to dzieje? Przecież ten sierp i młot — to godło państwowe, przecież Stalin — to dyktator, samodzielnego państwa rosyjskiego. Czyż jest do pomyslenia, żeby jakiś inny dyktator, na przykład Franco hiszpański, zaczął orga-



Rysunek

(Rys. M. Kościatkowski)

nizować sobie tak jawnie i bez ogródek swoich zwolenników w innych państwach? Ba, nawet Niemcy w najbardziej rozbu-
chanych czasach hitleryzmu nie mieli jednak czelności tak otwarcie i oficjalnie tworzyć swojej 5-ej kolumny!

Ale Rosjanom to wszystko uchodzi; u komunistów nie tylko nikt nie dostrzega tej nagiej prawdy, lecz na pewno znajdzie się tysiące uczciwych ludzi, którzy z przekonaniem będą bronili ich prawa do organizowania swych jacejek. W imię wolności, w imię demokracji, w imię sprawiedliwości!...

Idziemy do komendy miasta, stamtąd do urzędu mieszkaniowego i wreszcie łą-
dujemy z kartką kwaterekową w kieszeni przed bramą obskurnego hotelu, typowego *Gasthaus* prowincjonalnego miasteczka.

Po wyładowaniu rzeczy z samochodu, służący hotelowy, koślawy blondynek z twarzą wężącego szczura, zaczął nas przekonywać, że zrobimy lepiej, szukając noclegu w podmiejskich pensjonatach.

— Na drodze do Garmisch znajdują pa-
nowie piękne hotele — mówił nie rusza-
jąc się z miejsca — a nasza Goldene Ster-
ne — to prawdziwy zamek pluskiew... Plus-
kwy straszne... Goście uciekają od nas nie
raz w nocy — takie pluskwy... Nie ma
sposobu aby je wytępić!

Tak szczebiotał, nędzny i przebiegły, bacz-
ąc pilnie, jakie wrażenie robią na nas jego słowa.

Ale nie daliśmy się odstraszyć... Na py-
tanie, co jest do zjedzenia, szczur zatrze-
potał się jak schwytyany nietoperz.

— Wszystko u nas na kartki, tylko na
kartki! My przymieramy głodem! Na ty-
dzień dostajemy kilo chleba... Tłuszczów,
mięsa — nie ma... kartofle... ach! kartofli
nie widziałem już od sześciu tygodni!...

Spojrzał na nas żabim okiem, oczekując
współczucia dla biednego, pognębionego
niemieckiego narodu.

Ale ta tyrada wywołała we mnie reakcję
odwrotną jego zamierzeniom.

W tej chwili pragnąłem gorąco, ażeby
ten stan rzeczy trwał tu długo, jak naj-
dłużej, przynajmniej przez pięć lat. Niech
mają przynajmniej to niedojadanie, te
drobne, śmiesznie drobne niedomagania
— jeżeli już nie można Niemcom bodaj
w przybliżeniu zaaplikować tego wszystkie-
go, co oni, ci zgębieni i pokrzywdzeni,
potrafili wyrabiać w Polsce...

* * *

Na drugi dzień z rana stwierdziliśmy
zgodnie, że wczorajsze opowiadania o plu-
skwach były wierutną bujdą. Poco ten bla-
dy szczur chciał nas ośmęcać?

Zapytany, wił się i bąkał coś mętnie,
że to z życzliwości, że sam nie rozumie dla-
czego pluskwy znikły, że w ogóle. A niech

go wszyscy diabli! Śpieszyliśmy się dalej, ażeby zdążyć na noc do Monachium.

Pogoda się przejaśniła, niebo się przetańczyło. Droga szła znów przez piękny, górski kraj. Znów te wysokie szczyty lśniące śniegiem, znów olbrzymie nietknięte lasy, rozległe zielone hale... I nigdzie śladu wojny! Pola uprawne, zasiane oziminą, stada bydła pasące się na łąkach, drób na podwórzach.

Po osiedlach dzieci idące do szkoły. Dobrze odżywione, dobrze ubrane — rośnie zdrowo nowe pokolenie hitlerowców!

Nie! Stanowczo ten wjazd na teren Rzeszy nie nastraja nas optymistycznie!

POD OPIEKUŃCZYMI SKRZYDŁAMI PANCERNYCH

Po bardzo polskiej w krajobrazie drodze z brzoźowymi zagajnikami, szuwarami nad szerokim rozlewiskiem wód, koralowymi liśćmi jesiennych jarzębin, — dojeżdżamy do niedużego miasteczka. Przed wjazdem drewniana tabliczka: „Polskie miasto Maczków”.

Srogie jakieś lwowiaki musiały opanować to „polskie miasto”, bo już na pierwszej ulicy widnieje napis: Łyczakowska, a dalej coraz to wyskakuje jakaś nazwa z Lwiego Grodu.

W Maczkowie mieszkają sami Polacy. 4.000 Polaków. Tutaj przynajmniej załatwiono to jak należy! Miasteczko leży na terenie zdobytych przez Pierwszą Dywizję Pancerną i żołnierz polski, w słusznym poczuciu sprawiedliwości, zdecydował, ażeby Niemcy raz wreszcie zakosztowali owoców swego postępowania w Polsce: wyrzucono więc Niemiaszków z ich mieszkań, a na ich miejsce zaproszono tych nieszczęśliwców, którzy przez pięć lat konali powolną śmiercią w niemieckich obozach koncentracyjnych lub pracowali, jak bydło robocze, na roli u niemieckich bauerów.

W murowanych domkach mieszkają teraz rodziny polskie, prowadzą własne gospodarstwo i bodaj tutaj mają największą iluzję ludzkiego życia..

W centrum Maczkowa znajduje się Urząd Miejski. Tak właśnie głosi polski napis na tabliczce u wejścia do maczkowskiego magistratu. W urzędzie miejskim są wszystkie działy, jakie przystoi ażeby były w dobrze prosperującym mieście, a wydział szkolny zajmuje w nim jedno z pocięniejszych miejsc. W Maczkowie jest gimnazjum i liceum, jest szkoła mechaniczno-szoferska, są kursa kroju i szycia, szkoły powszechne, przedszkole.

Szkoła szoferska nie może pomieścić żadnych nauki kandydatów. Powstała ona — tak jak prawie wszystko, co jest dobrego i pożytecznego tutaj w Niemczech — z dobrej woli, z zapału, z potrzeby być użytecznym. Znalazł się jakiś inżynier, znalazło się kilku innych, którzy tak długo chodzili i szukali po różnych salvage'ach, po cmentarzyskach wraków samochodowych obficie rozsianych po drodze wojny, aż skompletowano asortyment modeli, wzorów i narzędzi. Prawda, że działa się to pod opieką wojska, naszego polskiego wojska, które dopomogło czym było potrzeba.

Ale to jest zdumiewające, jak mało potrzeba polskiej inicjatywie, jak wszędzie tam, gdzie jej bodaj tylko nie przeszkadzają, potrafi ona wykazać prężność, zapał i rzadkie zdolności organizacyjne!

Otóż w szkole szoferskiej w Maczkowie uczy się z niebyle jakim zapałem młodzież cywilna, której marzeniem jest dostać się do wojska. To aż krępujące, z jakim nabożeństwem chodzą ci chłopcy koło każdego ubranego w mundur polski. Robią też wszystko co mogą, aby stać się jak najlepszymi fachowcami samochodowymi, bo wciąż wierzą, że gdzieś, kiedyś otworzą się i przed nimi upragnione bramy Szemana — i przywdzieją i oni czarne berety pancerniaków.

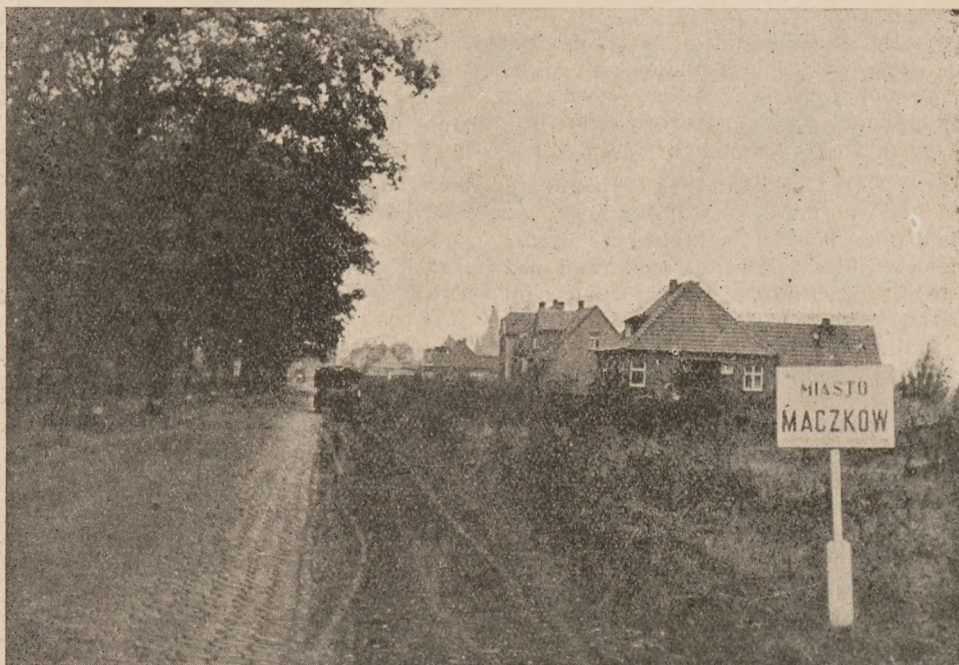
Dziwne wzruszenie i żalność ogarnia człowieka, kiedy się patrzy na tych chłopaków. Bo przychodzą na pamięć te setki i tysiące ich rówieśników błakających się po obozach po całej Rzeszy, którzy tak samo marzą tylko o tym, aby się uczyć i dostać się do wojska. Niestety, warunki materialne nie wszędzie pozwalają ująć tę młodzież w jakieś formy organizacyjne i dać jej bodaj naukę..

Ale tutaj, w Maczkowie, mogą ci szczęśliwi, których dobre losy zaprowadziły pod opiekuńcze skrzydła polskiego wojska, uczyć się i pracować do woli. Chłopcy i dziewczęta. Przyczem o ile praktycznym celem chłopców jest wyładowanie w wojsku, — dziewczęta myślą o pracy w domu, o założeniu własnego ogniska rodzinnego. Ta tęsknota za własnym domem, to jeszcze jedna z podstawowych cech masy Polaków rozproszonych po świecie. Stąd zapewne Maczków właśnie, gdzie nie ma baraków i namiotów, ale mieszka się rodzinami w osobnych domkach, w warunkach stwarzających największe podobieństwo do życia osiadłego i normalnego, ma tę atmosferę zadowolenia i spokoju.

W Maczkowie ma swoją siedzibę również okręg szkolny, w którym jest 45 szkół powszechnych, gimnazjum i liceum (właśnie to w Maczkowie), gimnazjum niepełne, kursy gimnazjalne. Wszędzie przy szkołach powszechnych są szkoły dokształcające i przedszkola. Oprócz tego 20 różnych kursów zawodowych: mechaniczno-szoferskich, kroju

Tam wszędzie, gdzie polska ludność cywilna ma możliwość bezpośredniego zetknięcia się z wojskiem polskim, jest ona psychicznie i moralnie zupełnie inaczej ustawiona: bardziej okrzepła, spokojna i pewna siebie.

Ale cóż — możliwość stykania się z naszym wojskiem jest bardzo niewielka: na terenie



Przed wjazdem drewniana tabliczka: „Polskie miasto Maczków”. (Fot. A. Chruściel)

i szycia, bielizniarstwa, gospodarstwa domowego, pszczelarski, zabawkarski itp. To wszystko — dla ludności cywilnej. Dla wojska okręg prowadzi gimnazjum i liceum oraz 4 szkoły powszechne.

Z ludności cywilnej chodzi tutaj do szkół powszechnych 5.500 dzieci; nauczycieli, nauczycielek i przedszkolank jest zatrudnionych około 300.

Na terenie okupacji angielskiej jest takich „okręgów szkolnych” sześć!

Podstawą tej pracy jest wojsko. Ofiarność żołnierza polskiego, który samorzutnie i chętnie dzieli się ze spotkanym rodakiem wszystkim co ma — i tutaj jest wielką pomocą. Ale nie materialna strona jest tu najważniejszą. Najważniejsze jest to, że ci ludzie traktowani od lat jak pariasi, od lat pozbawieni widoku wszystkiego, co jest polską siłą, teraz mogą na własne oczy oglądać polskiego żołnierza, polską siłę zbrojną, która stanęła zwycięsko aż tu, w sercu Niemiec.

olbrzymiej Rzeszy tylko nad granicą holenderską stoi jedna nasza Dywizja.

I dlatego wiadomości o wojsku polskim wśród naszych przymusowych wychodźców są bardzo różne, czasami zgoła dziwaczne...

Zdarzyło się nam pod Hanowerem spotkać panienkę, która w żaden sposób nie mogła zrozumieć, że nie jesteśmy z „Warszawy”.

— A skąd panowie przyjechali?

— Z Włoch, z Italii.

— Jak panowie są z Italii, to skąd panowie umieją mówić po polsku? —

— Bo jesteśmy Polakami, wojskiem polskim, które przeszło rok walczyło z Niemcami na froncie włoskim... Nie słyszała pani nigdy o Polskim Korpusie we Włoszech?” —

— A skąd się tam wzięło wojsko polskie?

Zrobiliśmy panience krótki wykład historii Armii Polskiej na Wschodzie i Dru-

giego Korpusu i zostawiliśmy ją tam na tej szosie pełną nieufności i rozterki, raczej podejrzewającą, że kilku blagierów i oszustów chciało ją nabrać na kawał...

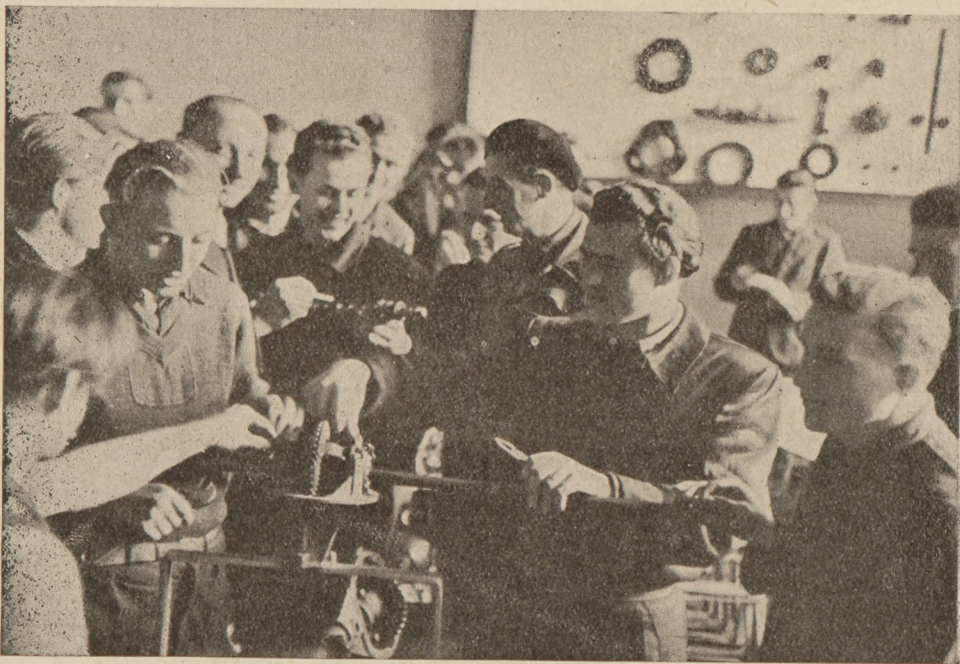
Oczywiście, takie panienki — to wyjątek. Ale jest to najniższy szczebel tej olbrzymiej rozpiętości, skali wiadomości o naszym wojsku, jakie krążą wśród Polaków w Niemczech. Całą prawdę mogą poznać tylko ci, którzy bezpośrednio się stykają z wojskiem, a takich jest bardzo niewiele...

Psychicznie i moralnie (nie mówiąc już o materialnej stronie zagadnienia) polska ludność cywilna w Niemczech najlepiej czuje się tam, gdzie ma bezpośrednio do czynienia z wojskiem polskim. A z tych

więc powstać ramy organizacyjne dla tych pracowniczek.

Dzisiaj w baonie jest specjalna kompania dla opieki nad obozami cywilnymi, obejmująca swą pracą 18 obozów (przedszkola, szkoły, kancelarie, sanitariat), jest kompania świetliczarek i kantyniarek, zajmujących się pracą w oddziałach Dywizji, jest wreszcie kompania administracyjno-gospodarczo-sanitarna, również pracująca na potrzeby wojska.

Słowem jest to normalny baon Służby Pomocniczej Kobiet, taki, jakie były u nas na Środkowym Wschodzie i we Włoszech, jakie były w armii francuskiej, angielskiej i amerykańskiej. Tylko... tylko, że jest



W Maczkowie jest szkoła mechaniczno-szoferska... (Fot. A. Chruściel)

najszczęśliwsi są chyba ci z Maczkowa i tych kilkudziesięciu innych obozów, które przysparza pod swoje opiekuńcze skrzydła Pierwsza Dywizja Pancerna.

PIŁOMIENIE W NOCY

W Meppen przy Pierwszej Dywizji Pancernej jest baon PSWK złożony z kobiet byłych żołnierzy Armii Krajowej.

Baon powstał niedawno i stworzyło go właściwie samo życie: Dywizja zaczęła żądać to maszynistek, to sanitariuszek, to świetliczarek i nauczycielek, — musiały

jeszcze coś, coś nieuchwytnego i nieokreślonego, co odczuwam tu w atmosferze swojskości, a czego jeszcze nie potrafię uchwycić i określić.

Slucham i notuję różne szczegóły z pracy kobiet w A. K., w Kraju. I to, że na terenie Rzeszy jest zarejestrowanych 3.000 „akaczek” i to, że w Kraju, w samej Warszawie było ich ponad 10.000. Że w ręku kobiet była znakomita większość wszystkich służb — 70 % sanitariatów (pielegniarki, noszowe, patrole sanitarne), 90 % łączności (gońcy, telefon, radio, szyfr), niemal cakowicie służby zaopatrze-

nia i adm. gospodarcza, a już bez reszty opieka nad żołnierzem, a więc gospody, kantyny, punkty zborne, pogadanki, książki, teatry, koncerty, kina...

Słucham i notuję to wszystko i wciąż myślę o tym, jak uchwycić tę tajemnicę, która cyfry i nazwy napełni gorącym tętnem życia. Bo wciąż czuję, że poza słowami tego opowiadania ukrywa się sens istotny, nieuchwytny jeszcze dla mnie i niezrozumiały.

Zwierzam się z tych moich kłopotów pani major, komendantce baonu. Pytam, czy nie mógłbym zobaczyć jej dziewcząt w jakiejś sytuacji zwykłej, codziennej.



...bliskie i zrozumiałe były jasne uśmiechy...
(Fot. A. Chruściel)

— Doskonale — mówi komendantka — niech pan przyjdzie dziś wieczorem do nas na herbatę.

Tegoż wieczoru siedziałem przy dużym stole w towarzystwie kilkunastu pań z Armii Krajowej. Było wesoło i gwarnie. I jakoś po domowemu.

Rozmowa obracała się dokoła spraw warszawskich i powstaniowych. Padały jakieś tajemnicze dla mnie skróty, jakieś pseudonimy, fragmenty jakichś wydarzeń.

Ale bliskie i zrozumiałe były jasne uśmiechy, które jak motyle przelatywały nad stołem, bliską była i wzruszającą atmosfera warszawskiego saloniku, jaka napełniała tę baonową kancelarię w niemieckim sztywnym domu.

Panie ożywiały się coraz bardziej, mówiły jedna przez drugą. No cóż, musiały niemal wszystkie zarabiać na życie. Praca w konspiracji przecież nie mogła dać utrzymania. Imiały się więc wszystkiego, co dawało szansę zarobku. A w przedsię -

biorczej i dzielnej Warszawie pomysłów i fantazji nie zabrakło nigdy!

Malutka blondyneczka, dzwoniąc srebrzystym śmiechem, opowiada przedziwną historię, jak z niczego, z powietrza, z polskiej ufności, że jakoś to być musi, — powstało w Warszawie biuro przewozowe, „ich biuro”, w którym pracowało ostatecznie kilkadziesiąt osób. Biuro nie tylko w rezultacie stało się poważną konkurencją dla starych i renomowanych firm niemieckich, nie tylko żywiło (i to dobrze żywiło!) tych kilkudziesięciu Polaków, ale było równocześnie precyzyjnie działającym aparatem konspiracji, zajmując się ekspedowaniem różnych nie bardzo legalnych przesyłek z i do Warszawy nie tylko z całego kraju, ale niemal z całej, okupowanej przez Niemców Europy.

Blondyneczka zaśmiewa się z tych świetnych kawałów, jakie to się robiło Niemcom, ale już jej przerywają inne.

Rozłącza się przede mną barwny i niezwykły film jakichś rewizyj na ulicach i w tramwajach, gdzie tylko nadzwyczajna przytomność umysłu, opanowanie i pomysłowość ratowały życie niewiastom, przenoszącym w torebkach i koszykach pod dekoracją z jarzyn broń, materiały wybuchowe i bibułę. Słucham fascynujących opowiadań o pracy gońców, roznośzących pocztę i bibułę, o dalekich jazdach pociągami po kraju, z których wychodziły cało znów tylko dzięki jakimś pomysłowym kamuflażom. Słucham tych opowiadań o nieustannym ocieraniu się o śmierć, o tym codziennym tańcu nad brzegiem przepaści, opowiadanych tak lekko i wesoło, jak jakiś dobry kawał, znakomity żart, — i sam ulegam temu nastrojowi lekkości, sam zaczynam wierzyć, że to wszystko było takie łatwe, proste i wesołe.

— No dobrze, — pytam — ale co właściwie skłaniało panie do wstępowania do konspiracji? Obowiązek? Patriotyzm?

Pytanie jest niespodzianką. Rozumiem w tej chwili, że na pewno żadna z nich nigdy go sobie nie zadawała. Ale wnet odpowiada mi chór zadzierzystych głosów:

— Nie dać się! Zrobić im, Niemcom, na złość! Pokazać, że jesteśmy, że żyjemy! Taki był ogólny nastrój, tak myśleli wszyscy. A przytem — wszyscy wierzyli, że musimy zwyciężyć!

Obok mnie siedzi spokojna, wysoka panienka, bardzo jasna, platynowa blondynka.

— A pani? — zwracam się do niej — jakie pani robiła Niemcom kawały?

— Byłam w grupie minerskiej — odpowiada panienka — wysadzaliśmy tory kolejowe, mosty, pociągi...

Teraz dopiero zauważam, że panienka jest siwa. To właśnie obfitość zupełnie białych włosów wytwarza ten śliczny kolor platynowy. Ale po prostu nie może mi przejść przez gardło pytanie, czy ta siwizna to w związku z jej pracą konspiracyjną...

Pytam tylko, dlaczego tymi sprawami zajmowały się kobiety.

— Bo było łatwiej — pada rzeczowa odpowiedź — kobiety mogły łatwiej wszędzie przejść, mniej zwracano na nie uwagę...

Bo było łatwiej... Myślę, że nie tylko dlatego. Myślę, że przede wszystkim to ten jasny płomień entuzjazmu, którym płonęły kobiety polskie w swej woli poświęcenia się i radości służenia, sprawiały, że były one na wszystkich, najbardziej niebezpiecznych posterunkach.

Entuzjazm, radość poświęcenia, wola służenia... To nasze babki i prababki z powstań narodowych, to matki i ciotki z ognia rewolucji 1905 roku, to te kurierki legionowe przełaziły swe tradycje, swój zapał i swą wiarę, że tak trzeba, że tak musi być, że się nie damy, że przetrwamy, że żyjemy! — w to pokolenie dzisiejsze.

Takiej kobiety jak ta dziewczyna — saper napewno nie wydał żaden inny naród na świecie! Takie kobiety mogą rodzić się i umierać tylko w Polsce!

Kiedyś, już tu we Włoszech, rozmawiałem o Powstaniu Warszawskim z młodszą dziewczyną.

— Jak tam było, Tereska, w powstaniu?

Odpowiada mi zwycięsko zadartą w górę kciuk nad zaciśniętą pięścią...

— A chciałabyś jeszcze raz być w takiej walce?

— Ojej, — piszczy Tereska — ojej! choćby zaraz!...

A jest to przecież miły i łagodny dzieciak, na pewno pozbawiony wszelkich krwiożerczych instynktów. Ale dla niej walka — tak jaka dla nich wszystkich — to nie jest groźny chaos potężnej techniki zniszczenia i śmierci, lecz radosny entuzjazm



...są szkoły i przedszkola...

(Fot. A. Chruściel)

służenia, radość dopełnienia w sobie swojej prawdy o życiu.

W niezmiennie pięknych wzlotach i arcy-ludzkich załamaniach dziejów Polski kobieta polska płonie jasnym płomieniem wiary w dobro i piękno życia: spala się jak stos ofiarny w służbie Królestwa Bożego na ziemi...

Tadeusz Zajęczkowski

Śmierć domu

Odbijało się to całkiem po cichu,
w mętym zmróku jesienniej szarugi,
od samych piwnic do strychów,
od jednego węgra po drugi,
od załomu ściany do załomu
zabitego, złupionego domu...

Nikt nie widział - nie słyszał - nie przeczuł -
- ktośby zresztą tym głowę zaprószał, -
że się w mglisty, zapłakany ten wieczór
wynosila z domu - jego dusza...

Ocalała jakoś do ostatka...

Nikt jej w worki przy rabunku nie natkał,

nikt jej w szafach, czy po kufrach nie szukał,
nikt siekierą zamków jej nie tupał,
ram nie łamał, jak starym obrazem,
z lustrem nie zbił - nie wywłócił na gazon,
drapieżnymi nie skalał jej dłońmi...

...Nikt po prostu nie pomyślał o niej...

Najcenniejsza a nierozpoznana,
nieuchwytna, niepotrzebna nikomu,
przyzostała - nieczyja i sama -
w czarnym wnętrzu zabitego domu...

Kto się wmyśli w martwość i ciszę,
którą wtedy dookoła ma się?



„Piazza del Popolo” w Rzymie (Rys. St. Westwalewicz)

...Gdzieś się okno wyrwane kotysze,
jak złamane skrzydło na zawiasie...
Przeciąg zdartą firankę odwiewa...
Oślepione, połupane, puste,
w mrok się gapią martwe ramy luster,
kwadratami tafli - których nie ma...

Kto zrozumie co czuje zwierciadło,
gdy mu z piersi świat odbicia wykradną?

...Czarnej paszczy znajomym wykrojem
głęb kominka w mrok bezgłośnie krzyczy...
Obok zewłok starego fotela
trzew wyprutych puszyszość wybiela...
...Gdzieś drzwi trzaśły... Chłód nadął pokoje...
Zbita szyba posypała się z piętra...

Z kąta w kąt - z kąta w kąt - i z powrotem,
dusza domu chodzi - i pamięta...
Tutaj książki zza szyb się bibliotek
wygarbiały szeregami grzbietów...
— Teraz stos ich bli jeszcze na dworze...
Tapet chłodnym, rozległym deseniom
przypatruje się tego i niemo.
Rozpoznaje po świeższych kolorach,
co gdzie jeszcze wisiato do wczoraj,
pustych haków czerni się zdumiewa...
...Jeszcze nie wie... Jeszcze pojąć nie może.
Jeszcze szuka... Ścian się jeszcze dotyka...
Pustkę dłoni przed sobą obiera
wymacuje, jak ślepiec bez mała
i na próżnię się wszędzie natyka...

Już to tylko tu jest - czego nie ma.
Ona jedna - ostatnia - została...

Gdzie są ci, którzy sercem ją grzali,
którzy z własnych dusz pić jej dawali,
myślą z nią się dzielili, jak z siostrą?
Gdzie są spręży, do których się ciepła
od lat swojsko tuliła i lepta?

Wszystko w jednym skończyło się wstrząsie,
wszystko życie na zębach rozniosta...
...Jeszcze resztki na gazonie tlą się...

Z krzywd najcięższa - kamienna - żelazna
dokonała się tutaj w jej oczach:
śmierć gniazda...

W mętnym zmroku jesiennej szarugi,
od jednego rogu po drugi,
od pierwszego węgla po czwarty,
z drzwi - bezbronną na oścież otwartych,
z czarnej głębi złupionego wnętrza,
- najcenniejsza dotąd i najświętsza -
niepotrzebna już dzisiaj nikomu,
wynosiła się precz - dusza domu...

...Jak dym z drzwi się wejściowych wywlokła,
jak firanka wywiała się z okna,
zdartym pasem tapety na ścianie
pogładziła dom na pożegnanie
i w park poszła - marą nieuchwytną -
między drzewa... które jutro wytną...

Beata Oberlyńska

W imię prawdy

W numerze 2 (189) „Orła Białego” ukazały się bardzo znamienne rozważania p. Wiktora Trościanki w artykule zatytułowanym „Cena narodowej jedności”.

W artykule tym autor podejmuje próbę przedstawienia syntezy procesu scalania polskich partii politycznych i wojskowych organizacji niepodległościowych. Trudne to zadanie zapoznania rodaków przebywających w czasie pięcioletnich zmagani wojennych na obczyźnie z wysiłkami polskiej myśli politycznej, zmierzającymi do stworzenia jednolitego ośrodka politycznego i jednolitej armii krajowej — wymaga od autora bezwzględного wypełnienia dwóch warunków 1) dokładnej znajomości historycznego biegu wydarzeń i 2) absolutnej bezstronności.

Niestety artykuł p. Trościanki żadnego z tych warunków nie spełnia. Autor w swych wywodach wykazuje zarówno brak dostatecznej znajomości stanu faktycznego, jak również, dając się unosić namiętnościom partyjnym, daleko odbiega od prawdy obiektywnej. W rezultacie — czytelnik otrzymuje obraz heroicznego okresu zmagani z najeżdżcą niemieckim całkowicie wypaczony. W krzywym zwierciadle p. Trościanki ukazują się przed nami dość ponura rzeczywistość skłóconych partii politycznych, wylaniają się jakieś tajemnicze „siły, które starały się tych i takich ludzi porozdzielać, poskłócać, poróżnić w opiniach na temat celów i metod prowadzenia wojny przez Polskę”, widzimy w poszczególnych partiach „umiejętnie poumieszczane sztaby antykonsolidacyjne” itp.

Liczne „niedokładności” artykułu rażą szczególnie w zestawieniu z pięknymi zapowiedziami zawartymi w jego wstępie. Bowiem autor obiecuje przedstawienie „syntezy naszych zmagani” i w szumnych frazesach kilkakrotnie podnosi konieczność i celowość „jak modlitwę codzienną, odmawiania słów prawd narodowych” oraz mówienia całej prawdy, a nie tylko jej połowy.

Aby nie być gołosłownym w tych zarzutach postaram się pokrótce naświetlić niektóre tezy zawarte w omawianym artykule.

Zaczyna więc p. Trościanko od zobrazowania konsolidacji narodowej w ramach PKP., zwanej później Krajową Reprezentacją Polityczną. I tu już od razu pozwala

sobie na bardzo niewybredny atak na jedno ze stronnictw, tworzących czwórporozumienie, nie nazywając go zresztą aż do końca artykułu ani razu po imieniu i nie przytaczając żadnych argumentów rzeczowych na poparcie swych insynuacji. Powiada mianowicie: „Pisząc o zjednoczeniu narodowym, powiedzmy sobie od razu, kto się jednoczył: narodowiec i socjalista, ludowiec i chadek. Na początku była idylla, bo było bardzo daleko do końca i było bardzo źle. Noc terroru i militarne sukcesy niemieckie. Licho obudziło się dopiero wtedy, kiedy horyzonty wojenne zaczęły się przejaśniać. Nie dla Polski, co prawda, — ale to już tych spod znaku międzynarodowej jedności nic nie obchodziło. Jedność międzynarodowa, pojęta nie jako idea, nie jako jeden świat, oparty na moralności chrześcijańskiej, lecz jako jedność metody, jako bezwzględne podporządkowanie interesów jednego narodu interesom wyższemu — dlatego, bo służącym silniejszemu.

O utrwalenie konsolidacji w kraju walkę podjęto z innymi Stronnictwo Narodowe”. „Pięknie” wręcz wyglądała jedność narodowa w Kraju z udziałem tajemnych sił, służących obcym interesom. Z drugiej strony jednak dowiadujemy się od autora, że „Sacha słał nieustanne depesze ostrzegawcze, domagające się od zagranicy takiej jedności, jaką utworzyliśmy tu, w kraju”.

Bezsensowność tego wszystkiego jest tak oczywista, że nie warto nawet zastanawiać się, które to stronnictwo p. Trościanko miał na myśli. Wszelka polemika byłaby w tym wypadku zbytecznym marnowaniem papieru.

Warto raczej przypomnieć, jak sprawy te wyglądały w rzeczywistości. Osiągnięta w pierwszym okresie okupacji konsolidacja polityczna nie odpowiadała dostatecznie wiernie realnemu układowi sił; nie skupiała wszystkich stronnictw, czynnych w Polsce przed wybuchem wojny, jak również nie uwzględniała nowych, utworzonych już w konspiracji organizacji politycznych. O utrwalenie tej konsolidacji nie potrzebowało Stronnictwo Narodowe walki z nikim podejmować, bowiem nikt nie dążył do jej obalenia. Były jedynie usiłowania rozszerzenia jej podstaw przez dopuszczenie innych partii politycznych, usiłowania uwiecznione zresztą — choć w pewnej mierze — powo-

dzeniem. Mianowicie KRP., rozwiązana na początku roku 1944, przekształciła się w Radę Jedności Narodowej, skupiającą oprócz czterech dotychczasowych stronnictw, również Zjednoczenie Demokratyczne, „Ojczyznę” i „Racławicę”.

Równie fałszywie przedstawia p. Trościanko zagadnienie konsolidacji organizacji wojskowych w ramach ZWZ, pisząc: „Ratując Kraj przed dekompozycją Państwa Polskiego, zainicjował Sacha konsolidację Armii Krajowej, scalając z ówczesnym PZP ogólnopolską organizację wojskową Stronnictwa Narodowego (NOW), doniosłość czego została oceniona zarówno przez ówczesnego komendanta PZP., generała Grota, jak i przez Wodza Naczelnego generała Sosnkowskiego. W tej akcji duch narodowy w ogóle, a Stronnictwo Narodowe w szczególności, przeszło wielki kryzys—przeszło w rezultacie zwycięsko. Kosztowało to wiele ofiar ludzkich, jak zwykle najlepszych, najczynniejszych. Padli najbliżsi Stefana Sachy, ci, którzy myśli jego podejmowali na najszerzych edcinkach walki”.

I to wszystko. To ma być zapewne „synteza” akcji, jednoczącej ogromną większość organizacji bojowych w ramach PZP. W tym króciutkim opisie znajdziemy wiele „prawd” w stylu p. Trościanki. A więc przede wszystkim nie Sacha zainicjował konsolidację Armii Krajowej i mimo wielkich zasług, jakie bezwzględnie w walce o niepodległość położył, nie był bynajmniej mężem opatrnościowym, jakiego z niego usiłuje zrobić p. Trościanko, „ratującym Kraj przed dekompozycją Państwa Polskiego”. Myśl zespolenia wszystkich sił w jednej organizacji wojskowej zrodziła się znacznie wcześniej, bo już na jesieni 1939 roku, bezpośrednio nieomal po pokonaniu armii polskiej, kiedy jeszcze przedwojenne stronnictwa polityczne nie rozpoczęły żadnej aktywnej działalności. Podjęła ją pierwsza komenda ZWZ utworzona w momencie kapitulacji Warszawy, znajdując zrozumienie nie wśród przywódców największych stronnictw politycznych: Rataja, Niedziałkowskiego, Staniszkisa. Akcja ta znalazła całkowitą aprobatę w późniejszych rozkazach Naczelnego Wodza, nakazujących scalenie w ramach ZWZ.

Pierwszym stronnictwem, które wydatnie zasiłowało szeregi tworzącej się Armii Podziemnej była PPS, oddająca od razu swą dobrze zorganizowaną milicję pod rozkazy komendanta ZWZ. Organizowanie później przez Stronnictwo Narodowe—Narodowej Organizacji Wojskowej, a przez Stronnictwo Ludowe — Batalionów Chłopskich, jako

odrębnych bojowych organizacji tych partyj, nie było akcją przyczyniającą się do konsolidacji sił zbrojnych w Kraju. Na szczęście jednak i Bataliony Chłopskie i Narodowa Organizacja Wojskowa połączyły się po pewnym czasie z PZP. (Tutaj musimy znów p. Trościankę sprostować: w momencie połączenia się Nowej Organizacji Wojskowej z PZP, Naczelnym Wodzem nie był generał Sosnkowski, lecz generał Sikorski). Dalej następuje zdanie o jakimś tajemniczym kryzysie w duchu narodowym, a szczególności w Stronnictwie Narodowym. Tu znów spotykamy się z tak typową dla p. Trościanki „prawdą połową”, znów obawa nazywania rzeczy po imieniu. Przecież ten „wielki kryzys”, to po prostu rozłam w Stronnictwie Narodowym i NOW, w wyniku którego secesjoniści utworzyli tzw. „Wielką Polskę”, a po pewnym czasie połączyli się z Narodowymi Siłami Zbrojnymi. Powrót „marnotrawnych synów”, czyli jak to po swojemu p. Trościanko nazywa „zwycięskie przejście wielkiego kryzysu”, nastąpiło dopiero na wiosnę 1944 r.

W ostatnich wreszcie zdaniach opisujących „syntezę” scalenia wojskowego jest mowa o wielkich ofiarach ludzkich, jakie to scalenie, czy też ten kryzys, kosztowało Stronnictwo Narodowe. Otóż albo tutaj, albo w śmierci s. p. Stefana Sachy dopatrzyć się możemy jedynie wyjaśnienia tytułu „Cena narodowej jedności”, w jaki p. Trościanko zaopatrzył swoje rozważania. Przyznam się, że takie przedstawienie sprawy wydaje mi się mocno oryginalne. Sądziłem dotąd i mimo wszystko nadal sądzić będę, że wszelkie ofiary, jakie Stronnictwo Narodowe w okresie okupacji poniosło, były tylko wyłącznie ofiarami w walce o niepodległość, jaką cały naród polski prowadził z najeźdźcą niemieckim, nie zaś, jak to sobie p. Trościanko wyobraża, ceną narodowej jedności. Wydaje mi się, że p. Trościanko najzupełniej niesłusznie krzywdzi swych towarzyszy partyjnych.

Po opisie tego scalenia i „wielkiego kryzysu” zawiadamia nas p. Trościanko, że „na Kraj szła ofensywa rozłamów politycznych, na lewicy zwłaszcza”. Nie jestem zapewne takim „autorytelem” w sprawach krajowych, jak p. Trościanko, więc ze skruszą przyznam się, że nie przypominam sobie w tym okresie żadnej „ofensywy rozłamów politycznych, na lewicy zwłaszcza”. Pamiętam, że w tym czasie nastąpił wspomniany już rozłam w Stronnictwie Narodowym, ale to właśnie na prawicy. Nie sądzę, aby autor miał na myśli dużo

wcześniejszy rozłam w PPS, lub dużo późniejszy w RPPS. Nie było chyba wtedy żadnych rozłamów na lewicy. Odwrotnie, wprawdzie już później, nastąpiła konsolidacja ugrupowań lewicowych w tzw. Zjednoczeniu Demokratycznym, które skupiło Stronnictwo Demokratyczne, ZOR i „Polską Niepodległą”, (Zjednoczenie Demokratyczne weszło następnie do Rady Jedności Narodowej, a przedstawiciel jego został wybrany do Komisji Głównej RJN) oraz w Centralizacji Stronnictw Demokratycznych, Socjalistycznych i Syndykalistycznych, skupiającej m. in.: RPPS, Organizację Syndykalistyczną „Wolność”, Związek Syndykalistów Polskich, Polskie Stronnictwo Demokratyczne i Stronnictwo Polskich Demokratów (te dwa ostatnie, oraz rozłamowcy z RPPS poszli potem na współpracę z Krajową Radą Narodową).

Zaraz w następnych zdaniach powiada p. Trościanko co następuje: „Każdy kompromis zaczynał być wykorzystywany dla celów przesuwania Polski w lewo. A ta lewa strona coraz mocniej czerwieniała, coraz bardziej pożoga od wschodu różowiała

„szklaną hutę”, którą według jednego z określeń miała być Polska”.

W pierwszym zdaniu p. Trościanko ma nareszcie trochę racji. Bardzo nad tym przesuwaniem Polski w lewo boleje. Cóż robić! Nie wszystkim widać podobają się znane uchwały Rady Jedności Narodowej, zapowiadające oparcie ustroju przyszłej Rzeczypospolitej o wolność polityczną i sprawiedliwość społeczną, zmianę przez parlament Odrodzonej Polski ustawy konstytucyjnej, wprowadzenie demokratycznej ordynacji wyborczej, przebudowę ustroju rolnego (parcelacja obszarów ziemskich ponad 50 ha), uspołecznienie kluczowych gałęzi przemysłu, upowszechnienie oświaty i kultury itd.

Taka już jest polska „rzeczywistość”. „Przesuwanie Polski w lewo” odbywało się niezależnie od woli p. Trościanki i jego towarzyszy, niezależnie od „czerwieniacej od wschodu pożogi” stanowiło ono wyraz samorodnie zachodzących w Kraju głębokich przemian społeczno-politycznych.

Paweł Prusiniowski

ANKIETA REDAKCJI „NA SZLAKU KRESOWEJ”

W pracowni literatów polskich

Zwróciliśmy się do szeregu pisarzy, literatów i dziennikarzy polskich, znajdujących się na terenie 2. Korpusu z prośbą o poinformowanie naszych czytelników o obecnym stanie ich pracy literackiej. Poniżej ogłaszamy otrzymane już odpowiedzi na dwa pytania: a) Co ogłosiłem ostatnio? i b) Co zamierzam przygotować w najbliższej przyszłości?

Jednocześnie zwracamy się do kolegów literatów i dziennikarzy, z którymi nie mogliśmy dotychczas nawiązać w tej sprawie bezpośredniego kontaktu, z prośbą o łaskawe wzięcie udziału w tej ankiecie przez nadesłanie informacji, które mogą zainteresować szersze koła czytelników.

Herminia NAGLEROWA:

W związku z moją stałą pracą w wojsku, jaką jest redagowanie pisma P. S. K. „Ochotniczka”, piszę tylko dorywczo. Można by powiedzieć — w gonitwie za strzępami wolnego czasu. Tak właśnie powstały opowiadania zawarte w tomie „Ludzie sponiewierani”, wydanym w „Bibliotece Orła Białego” (r. 1945).

W ramach owego wolnego czasu napisałam i wydrukowałam w naszych pismach kilka wspomnień osobistych o zmarłych pisarzach — z zamiarem wydania tego cyklu z czasem w książce. Może też uzbiera się w książkę trochę publicystyki literackiej, politycznej i społecznej, również przygodnie zamieszczanej w prasie wojskowej.

Zanim doczekam się warunków koniecznych do napisania zamierzonej powieści — ukaże się w „Bibliotece Orła Białego” nowe wydanie trzyciowej powieści „Krauzowie i inni”, oraz dawniejsza duża nowela „Człowiek z więziennej wieży” nakładem „Polskiego Domu Wydawniczego”.

Oba wznowienia ukażą się na początku roku 1946.

Gustaw MORCINEK:

Ostatnio ukazało się nowe wydanie mojej powieści pt. „Wyrąbany chodnik” nakładem „Biblioteki Orła Białego”. Nakładem Y. M. C. A. w Rzymie zaś pojawiło się trzecie wydanie mego zbioru nowel pt. „Serce za tamą”. „Rada Polonii Amerykańskiej” i „Rój” wydały równocześnie trzeci nakład mojej powieści dla młodzieży pt. „Narodziny serca”. Z nowych rzeczy ukazały się w Paryżu nakładem „Księgarni Polskiej” moje wspomnienia z Dachau pt. „Listy spod morwy”, które wkrótce pojawiają się również w „Bibliotece Orła Białego”. Na warsztacie mam obecnie opowiadania z obozu koncentracyjnego w Niemczech. Zamierzam również ogłosić cykl felietonów zatytułowany: „Listy z mojego Rzymu”, który będzie dalszym ciągiem „Listów spod morwy”.

Melchior WAŃKOWICZ:

W czasie wojny wydałem pod pseudonimem Jerzy Łużyc „Wrześniowym szlakiem” — książkę opartą na bezpośrednich opowiadaniach uczestników, zebranych w 1939 roku.

W Palestynie wydałem „De Profundis” — fragment pierwszego tomu trzyltomowego dzieła o żydostwie. Prócz tego w Palestynie wyszła książeczka „Bracia dalecy i bliscy” — skrót „Smętka”.

Również w Palestynie zdjęło z maszyny drukarskiej z przyczyn od autora niezależnych „Linie podziału” — książkę rozmyślań na temat cech charakteru polskiego.

Ostatnie półtora roku całkowicie poświęciłem pisaniu „Bitwy o Monte Cassino”.

We Włoszech wyszła „Rodzina Korzeniewskich”, tłumaczona na angielski, francuski i hiszpański. Jest to fragment zamierzonego dzieła o Polakach w Rosji, którego napisanie mi udaremnilo przez niedopuszczenie do materiałów.

Na przyszłość mam napisać dwa duże tematy. Ponieważ jednak każdą książkę albo mi udaremniają, albo usiłują udaremnić, wolę nie budzić licha i o tych tematach nie mówić.

Bracia Kordiczowie

Przyszli któregoś dnia, z wiosną, do południa.

Schodziło się do nas po stromych stopniach, do piwnicy. W piwnicy było gorąco, gdyż pod stropem pełzały grube rury z parą, w których wiecznie coś brzęczało. Jakby ktoś potrząsał kamykami w blaszanym pudełku. Pod jedną ścianą stały trzy ogromne baseny betonowe, do których wsypywaliśmy obrane z łupin kartofle. Kartofle były białe i pachnące skrobłą. Woda burzyła się za każdym wysypanym wiadrem, potem się pieniła, a gdy basen już był pełny, uciszała się i nabierała słonego posmaku. Potem wpadali z hałasem kucharze z góry, nabierali szuflami kartofle do ogromnych kubków i wynosili po schodach do kuchni. Wtedy podnosiliśmy głowy i liczyliśmy, czy nas nie oszukają, czy nie wynoszą za dużo kubków.

Pod drugą ścianą stał tylko jeden ol-

brzymi basen z gorącą wodą, w której zmywał naczynia wygadany Francuz o wytupiastym lewym oku. W owym basenie topiono także szczury. Francuz brał dużą skrzynię ze złapanym szczurem i wywracał ją nad gorącą wodą. Szczur nie chciał wyjść. Wtedy on zachęcał go jakimiś pieszczotliwymi słowami w paryskim „argot” i potrząsał gwałtownie skrzynią. Naokoło zaś skupiali się wszyscy moi koledzy i przeraźliwie chudy kapo. A szczur wciąż czepiał się kurczowo ścianek skrzyni i nie chciał wyjść. Wtedy kapo pokazywał, co potrafi. Wszak przecież przewędrował cały świat trzy razy na około, na niemieckich statkach handlowych i pasażerskich, był świadkiem trzęsienia ziemi w Japonii, widział z morza walące się i trawione płomieniami miasto Jokohamę, opisywał sam w plastyczny i obrazowy sposób miłość, uprawianą z murzynkami w portach

afrykańskich, opowiadał nam o swoich przygodach w publicznych domach portowych w Południowej Ameryce, jadał z Malajami gdzieś w Indiach, chorował na tyfus w Australii, topił się w zatoce Biskajskiej i hodował papugi w Niemczech. Aż w końcu Gestapo umieściło go w obozie koncentracyjnym. Jako gorliwego wyznawcę wiary i religii komunistycznej. Komunizm był bowiem dla niego nie stronnictwem politycznym, lecz objawieniem nowej religii, która także ma swoich świętych. On zaliczał się do owych świętych komunistycznych.

Otóż kapo nie bał się szczurów.

Kapo bał się tylko ludzi i wobec nich zamieniał się w szczura, wytrąsanego ze skrzyni do gorącej wody w basenie. Kapo bał się ludzi silnych, lecz wobec słabszych urastał w pychę i brutalność. Podobnie jak wobec tamtego szczura, którego pomywacz Francuz zamierzał utopić w basenie. W ten jedynie sposób usiłował maskować w sobie i tuszować bolesny kompleks niższości.

Kapo nie bał się szczurów i jak nam opowiadał, ujmował je na swoich stawkach w dłonie i ciskał przez burtę w morze. Myśmy udawali ogromne zdumienie, i kiedy on wtedy puszył się i nadymał, pytaliśmy z udawanym podziwem w głosie:

— Tak gołą dłonią?...

— Głupiś! A czym, myślisz? Przez jedwabną chusteczkę?

— A nie ugryźć?

— Ho, ho!... A jeszcze jak?... Oto, widzisz — i podsuwał pod nasze oczy wytatuowane ramię i pokazywał nam drobne, czerwone blizny na kantach dłoni.

Potrząsaliśmy głowami w niesłychanym podziwie, a on puszył się jeszcze bardziej.

— A gdy takiego szczura rzuciłeś do morza, to on zaraz poszedł na dno? — pytał ktoś z kolegów.

— Głupiś!... Rekin przyplynał i połknął.

— Rekin!... Chryste Boże!... Taki prawdziwy rekin?

— Głupiś! Myślisz, że wypchany trocinami!... Ile ja rekinów nabiłem!... Ani „esmani” nie zdołali wykończyć w naszym obozie tylu ludzi, ile ja rekinów wykończyłem! — zaczął się znowu chwalić. — Złapaliśmy takiego bydlaka na grubą hak, na haku był kęs ściery, rekina wywlekliśmy na pokład, otwierało mu się paszcze drągami, a ja mu w niej stawiałem na sztorc gruby kawał drzewa, z obu stron ostro zakończony. Potem wrzucaliśmy go w morze!... Niech zdycha, bestia!... Mojego przyjaciela pożarł taki „Sauhund” przy brzegach Australii!... I rekin zdychał z głodu!... Jak nasi koledzy zdychają w

obozie!... — i ciskał ciężkim przekleństwem.

Ponieważ więc nie bał się szczurów, sięgał dłonią do skrzyni i wywlekał nie-szczęśnika za ogon. Szczur pisnął jak małe, duszone dziecko i już ciskał się w wodzie. Przebierał ogromnie szybko łapkami, pływał od brzegu basenu do brzegu, miotał się na wszystkie strony, rzucał rozpaczliwie, usiłował wydrapać się po śliskiej ścianie, a w jego małych oczkach ślepiło tak straszne przerażenie, tak wielki lęk o życie i błagania o litość, że kto wrażliwszy z nas, odchodził i nie chciał patrzeć na jego konanie.

Kapo trzymał żelazny pręt w dłoni i popychał broniącego się szczura, kiedy uczeplił się drobnej szczelinki w ścianie, by odpocząć, lub by przynajmniej ludzić się nadzieją, że już uratowany.

— Los! Los, du blöder Hund!... — wołał, odpychał go od ściany, a jego szare, zjadliwe oczy płonęły ekstazą. Szczur rzucał się wtedy wpław na drugi brzeg basenu, zawracał, kołował, a jego łapki rozgarniały wodę coraz wolniej i wolniej, w jego małych, paciorkowatych czarnych oczach tężało coraz większe przerażenie i coraz większy strach, taki sam potworny strach, jak u człowieka leżącego na ziemi, kiedy zbliża się „esman”, by mu skoczyć nogami w podkuty butach na klatkę piersiową i załamać ją z chrzęstem.

— Wyobraźcie sobie, że to Hitler się topi, Himmler, Rosenberg, że to jeden z tych przeklętych łajdaków „esmańskich”!... Widzicie?... To jest nasz „Blockführer!... Giń, zdychaj, ty bydlaku!... — krzyczał kapo i machał ramionami nad tonącym szczurem. Jakby jakieś zaklęcie sprawował.

Szczur dobywał już ostatek sił, jego ruchy były już tak ociężałe, jakby mu ołów oblepiał łapki. Aż w pewnej chwili jeszcze raz poderwał się i zrezygnowany jął powoli tonąć...

Wtedy kapo ocierał spocone czoło, ocierał oślinione usta i siadał ciężko na ławę.

— Los! Los!... Wir brauchen Kartoffel!... — wołał na nas chrapliwie i dyszał ciężko, jakby ta walka szczura ze śmiercią była jego walką. Francuz zaś mruczał coś do siebie i wyławiał topielca wielką chochlą, którą zwykle nabierano zupę z kotłów i wlewano na talerze „esmańskie”.

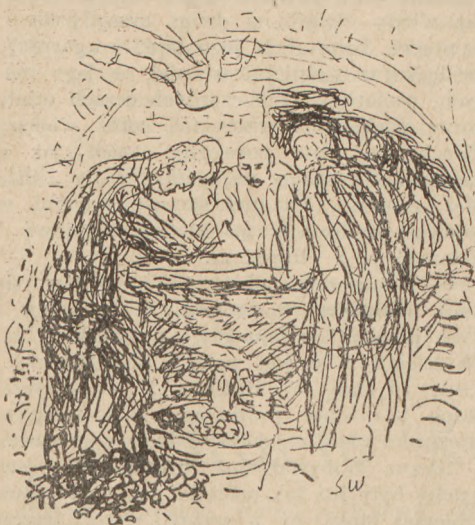
Nad nami mżyło elektryczne światło w zaduchu zgniłych kartofli, obierzyn i stęchłej wilgoci, mżyło od godziny trzeciej rano do godziny szóstej wieczorem; brzęczała para w rurach, syczała w ogromnym zbiorniku przy schodach, a przed nami leżały kupy kartofli. Myśmy zaś siedzieli rzędem na ławach i obieraliśmy je szybko, bardzo szybko. Przeżycie szczurzej śmierci

zdołało się już zatrzeć, bo nieustępująca senność znowu kładła nam się ołowiem na powieki i trzeba było śpieszyć się, trzeba było ogromnie śpieszyć się, bo inaczej nie nadążymy.

— Los! Los!... Wir brauchen Kartoffel! — wołał za nami kapo i patrzył, kogo tu uderzyć pięścią w kark, jeżeli znienacka znieruchomieje drobny, mechaniczny, szybki ruch palców, jeżeli kartofel wypadnie z jednej dłoni, a nóż z drugiej, ogolona głowa zaś zacznie chylić się i kiwać śmiesznym, podrywającym ruchem.

— Los! Los! Wir brauchen Kartoffel!... — skrzeczał głos jego, a myśmy kleli w myślach naszą dolę, kapa, kartofle, cały świat i nasze życie.

I znowu mijały dni jednostajne, szare, ekliwne, wyzbyte wszelkiej radości i wszelkiej uludy radości, dni tak ponure i posępne,



(Rys. St. Westwalewicz)

że wydawały się już nie miarą czasu, lecz samym czasem bez początku i bez końca. Mój sąsiad, tkacz z Sudetów, o twarzy zdumionego chłopca, usiłował mi tłumaczyć, że czas posiada swój początek i swój koniec. Że w ogóle nie ma czasu, tylko jest w nas złudzenie czasu. I że to jest jego filozofia, a wszelkie Einsteiny i Kanty i inne filozofy niech się wypchają. Cuchnącą, zgniłą mierzwą. Bo on dobrze wie. On już siedzi w obozie siedem lat, to dobrze wie. Gdyby Einstein lub Kant lub chociażby Hegel siedział rok tylko w obozie koncentracyjnym, to by nie pletli takich banialuk. Nie ma więc czasu, nie ma Boga, nie ma niczego, tylko jest zło, głód, ból, krzywdy ludzka, szatan i piekło. Poza tym nie ma innych absolutnych wartości.

— A ludzie? — pytałem.

Podnosił na mnie małe, zaczerwienione z niewyspania oczy, mrugał nimi szybko, a potem klepał mnie po ramieniu i mówił:

— Tak, ty masz słuszość, ty czasem mówasz słuszość. Ludzie są, lecz do nich należy tylko moja matka, moja córeczka Erika i ty!...

— Dlaczego ja? — pytałem skromnie.

— Halts Maul, a obieraj kartofle!... — odpowiedział szorstko. — Ty nic nie wiesz, ty jesteś głupi!... Ale nie gniewaj się na mnie!... Wszak dobrze wiesz, nie?...

— Lecz powiedz mi, Hans — zapytałem raz jednego — skąd u ciebie Einstein, Kant i Hegel?

— Ty masz ptaka w głowie! — mruknął z pogardą i postukał się palcem po czole.

Mijały więc dni szare, jednostajne, tępe, przegradzane topieniem szczurów w basenie i rozmową z moim przyjacielem o teorii względności. I kiedy pewnego wiosennego dnia kolega Francuz znowu złapał szczura w drewnianą pułapkę i znowu zamierzał go topić w gorącej wodzie w basenie, przyszli do nas trzej bracia Kordiczowie. Jeden z nich był chudy, o długim nosie, blade, kaszlący. Ten miał suchoty. Drugi był tegi, silny, barczysty, o płaskiej twarzy, na której malowało się zadowolenie. Trzeci zaś był szczupły, o bystrych, inteligentnych oczach.

— Jesteśmy bracia Kordiczowie — zameldował grubo kapowi.

— Kto was tu postawił? Ja was nie potrzebuję!

Gruby uśmiechnął się dobrotliwie i wyciągnął z kieszeni pomiętą kartkę. Kapo rozwinął ją, przeczytał z nabożeństwem i spojrzał z szacunkiem na trzech braci Kordiczów.

— Macie pierońską protekcję! — mruknął. — No, siadajcie, będziecie kartofle obierać. No, co jest z tym szczurem?

Francuz czekał przy basenie. Cekał, dopóki kapo nie załatwi sprawę z trzema przybyszami. Teraz otworzył pudło i jął wytrząsać szczura. I znowu wszyscy zgromadzili się koło basenu i znowu wszyscy patrzyli łakomie i radowali się głośno z niezwykłego widowiska. Szczur — jak zwykle — czeptał się rozpaczliwie pęknięć w ścianach pudła i nie chciał zsunąć się do wody. Kapo zakasał rękaw koszuli, ujął go za ogon, pociągnął i cisnął do wody. Woda plusnęła wysoko, szczur pisnął, a zebrani przy basenie jęli teraz krzyżeć i radować się hałaśliwie. Trzej bracia Kordiczowie również podeszli do basenu. Nachyliłi się z boku i patrzyli. Szczur pływał jeszcze szybko, zwinnie, burzył wodę za

sobą, nawracał, próbował wydrapać się na ścianę, znowu śpieszył do drugiego brzegu, kołował, w jego czarnych, drobnych, kłujących oczach rosło coraz większe przerażenie i coraz większy strach. Kapo popadał w swoją ekstazę. Krzyczał, bił się dłońmi po udach, trącał broniącego się szczura, ciskał przekleństwami, podniecał się do zapamiętania, a ludzie, koło niego skupieni, krzyczyli na równi z nim, i na równi z nim przeżywali eskatyczną radość z zadawania śmierci komuś żywemu.

Trzej bracia Kordiczowie patrzyli na wszystko w zdumieniu. Suchotnik wykrzywił boleśnie twarz i w pewnej chwili zastąpił ją bezwiednie dłońmi. Lecz nie odchodził. Tamten gruby uśmiechał się wciąż jakby bezmyślnie, tylko koło jego ust przebiegały dziwne drgawki. A ten trzeci o inteligentnych oczach patrzył spokojnie, nachmurzony, w skupieniu. W pewnej chwili odwrócił się, rozejrzał po piwnicy. W kącie, na stole stał spory garniec metalowy. Poszedł szybko do stołu, wziął garniec, wrócił, gwałtownym ruchem nabrał węgla wody i niespodziewanie nakrył nim broniącego się szczura. Pchnął mocno dłońmi i garnek z uwięzionym szczurem poszedł na dno.

— Albo go zabijecie od razu, albo puściecie na wolność! — rzekł twardo łamaną niemieczyzną.

I nie. Wszyscy spojrzeli na niego w zdumieniu. Nawet kapo. Jakże śmiało zepsuć tak piękną zabawę? Co to znaczy? Kiż diabeł?...

— Masz słuszność! — rzekł zniecała mój przyjaciel Hans ze Sudetów. I poszedł na ławę. Za nim reszta. Kapo ostatni. Widać było, że stanął przed jakąś zagadką, że go ta zagadka niepokoi. Że po prostu nie może zrozumieć, co tu się stało. Wszystkie logiczne przesłanki diabli wzięły, wszystkie utarte sposoby reagowania zawiodły i oto teraz wraca pobity do ławy, podobnie jak wszyscy wracają. I nie umie zaprotestować. Kiż diabeł?...

— To był przecież szczur! — rzekł niepewnie i popatrzył z niepokojem w nasze oczy.

— A właśnie szczur! — wybuchnął zniecała mój przyjaciel Hans. — Lecz ten szczur, to żyjące stworzenie, które ma duszę, a ty, kapo, ty jej nie masz!... Ty jesteś szczur bez duszy!... Ty jesteś truchło cuchnące!...

Nieoczekiwany wybuch Hansa i jego wzburzone słowa poraziły wolę kapa. Mówi się potocznie, że w takich wypadkach człowiek zapomina języka w gębie. Tu było coś więcej. Tutaj wypadły z trybów

jakieś kółeczka w rozumowaniu kapa, tu się coś nagle rozleciało na strzępy. Kompleks niższości przywalił go, przytłoczył do ławy. Nie umiał się z niego wyzwolić.

— Los! Los!... — rzucił jakimś zduszonym głosem. — Wir brauchen Kartoffel!...

— Dreck!... — warknął Hans i cisnął obranym kartoflem tak mocno w cebrzyk, że brudna woda trysnęła wysoko i skropiła twarz kapa.

— Wy wszystka... jesteście... głupia wariaty... — rzekł spokojnie Francuz i jął chochlą wyławiać utopionego szczura z basenu.

Francuz Roger miał słuszność.

Wszyscy byliśmy już bowiem wariatami, wszyscy nosiliśmy w sobie utajone kompleksy i niedocieczone urazy psychiczne, wszyscy byliśmy już histerykami i sadykami i diabeł wie, kim jeszcze. Byliśmy już ludźmi, którzy z przerażeniem stanęli przed *horror vacui*, i teraz wszyscy byliśmy podobni do tamtego szczura, oszalałego ze strachu przed śmiercią. Nie tylko kapo był do niego podobny, przeciwnie — wszyscy byliśmy już owymi szczurami skazanymi na powolne konanie.

A przeżywanie sadykicznej radości na widok zadawanej powolnie śmierci szczurowi nie było niczym innym, jak tylko kompensatą za nasz strach przed powolną śmiercią zadawaną olbrzymiemu tłumowi skazańców przez ludzi, których szatan spłodził.

I teraz zniecała przyszli do nas trzej bracia Kordiczowie.

Ten pierwszy Kordicz, suchotnik, był dla nas niczym. A może przeciwnie — był dla nas utajoną, podświadomą radością, że nie my jesteśmy suchotnikami, tylko on. Że nie my dławimy się suchym, świszczącym kaszlem, że nie nasze nosy są podobne do jego nosa, że nie nam perli się drobny pot na skroniach, tylko jemu. Jemu już śmierć pisana bardzo wyraźnie, a nam także, lecz my o niej nie wiemy, kiedy nadejdzie. Może jutro, a może za rok, a może, może doczekamy się wolności!... Przeklęte Amerykany, że tak długo ociągają się ze swoją ofensywą!... My tu chyba zdecydniemy, zanim oni się zdecydują na porażenie ludzi, przez szatana spłodzonych!... A może się doczekamy?... Kto wie?...

Czepialiśmy się tej anemicznej nadziei, jak tamten szczur czepiał się pazurkami szczelin w ścianach swej pułapki, kiedy Roger wytrząsał go nad basenem.

Ten drugi Kordicz ze swoim głupkowato uprzejmym uśmiechem na płaskiej twarzy był nam również niczym. Irytowała nas wprawdzie jego pogoda na twarzy, jego

podobieństwo do spalego, tęgiego wie-przaka, który jest zadowolony ze swego bytowania i który godzi się ze wszystkim. Nawet ze śmiercią w obozie, a której, łajdak, gotów w ślepią patrzeć swym rozmazanym uśmiechem. Lecz równocześnie pogoda jego chudziutkiego ducha rozbrajała nas i poniekąd uciszała. W sumie więc, przy zestawieniu tych dwóch znośzących się sprzeczności był nam niczym. Był nam tylko jakimś tam Kordiczem, który przyszedł i odejdzie kiedyś, i garbaty pies ze złamaną nogą, jak to określił mój sąsiad Hiszpan, nie zmartwi się z tego powodu.

Ten trzeci Kordicz miał śliczne imię.

— Jak tobie na imię? — zapytałem, urzeczony jego dziwnie mocnym, spokojnym i skupionym spojrzeniem.

— Jarda! Matka wołała na mnie „Jarda” i jeżeli chcesz, nazywaj mnie także Jarda.

— A co to jest „Jarda”? —

Oczy jego rozbliły nieoczekiwanie wewnętrznym ogniem.

— To jest wyraz pochodny od nazwy naszego morza. Wiesz, od naszego morza. Nie od italskiego!... Widziałeś kiedy nasze morze?

— Adriatyk?

— Tak! To jego druga nazwa, narzucona... Czy wiesz jakie ono błękitne?... I jak ono szumi?... —

Nie wiem, bo ja mam swoje Beskidy.

— To nie!... Ty masz Beskidy, ja mam swój Jadran.

— Los! Los! Wir brauchen Kartoffel!...

— zaskrzeczał głos kapa nad nami i rozgonił nasze głośne marzenia o urodzie Beskidów i Jadranu.

Zaprzyjaźniłem się z Jardą.

Z Jardą zaprzyjaźnili się wszyscy moi koledzy w piwnicy, nawet kapo, lecz ja chyba najbardziej. Jarda był mocny, Jarda był bardzo mocny. On na wszystkie sprawy patrzył z wyniosłym, pobłażliwym uśmiechem. Kiedy słuchał czyjejś rozmowy lub czyjegoś opowiadania, ciemne jego oczy stawały się podobne do dwóch dłoni, które podchodzą złożone, jak do modlitwy, do jakiejś ciężkiej zastony i teraz rozsuwają jej fałdy na boki. Powoli, spokojnie, coraz szerzej i szerzej, aż w końcu ramiona rozciągnęły się na kształt krzyża i przed oczyma nie ma już tajemnicy. Oczy Jardy były wspaniałe!... Oczy Jardy były tak piękne i takie mocne i męskie, i takie wnikiwe, i tak bardzo ludzkie, że można było patrzeć w nie nienasycenie. W oczach jego była niepojęta mądrość serca i niepojęty urok morza. Oczy jego zdawały się podchodzić do człowieka, podnosić, jego

znużoną głowę i głaskać, jak wzruszony ojciec głaszcze głowę dziecka chropowatą dłonią.

Nawet nasz kapo, ten rozbity, galareto-waty, roztrzęsiony ze strachu kapo, przemieniał się w jego obecności. Podnosił chudą twarz, a jego rozbiegane, szare oczy czyniły się wielkie i płonące, kiedy rozmawiał z Jardą o morzu.

— Ja wiem — chępił się z zachwytem — morze jest tak piękne, jak ani nie wiem, co!... Morze jest stokroć... ale co mówię!... Morze jest tysiąc razy piękniejsze, aniżeli najpiękniejsza dziewczyna w porcie!... Dziewczyna w porcie, chociażby ta najpiękniejsza, chce ode mnie tylko pieniądze, a pozostawia mi syfiliś!... A morze! Wiedzie, czego chce morze?... — zwrócił się do nas przemieniony w oczach i na obliczu. Jakby doznał zniecka objawienia, na które latami czekał i czekał w pokorze.

— Wiedzie, czego chce morze? — krzyczał już do nas, śmieszny w swej ekstazie, podobny do chudego proroka, z podnie-



(Rys. St. Westwalewicz)

sioną głową, z twarzą uduchowionej łasicy, z rozczapierzonymi palcami przed sobą. Wiedzie, czego chce morze?... Wiedzie!...

— Kabotyń! — mruknął do mnie przyjaciel Hans.

— Histeryk! — szepnął do mnie z drugiej strony kolega-sędzia z Alzacji, z sinymi workami pod oczami. Podobny był do płaczącej foki, lecz serce miał osłabione i ogromnie ludzkie. A że cierpiał na wodną puchlinę, więc obierał kartofle z nami.

Patrzyliśmy wszyscy na wzruszenie kapa,

jak na prostackie błaznowanie jakiegoś wesołka w cyrku. Nie wierzyliśmy w szczerość owego wzruszenia, a chociażby nawet było szczere, nie mogliśmy się oprzeć przekonaniu, że pałos jego jest jakiś zdeklasowany, podobny do znalezionej wśród śmiecia pomiętego cylindra, który włożył sobie teraz na głowę i paraduje przed nami, boso, zawoszony, w łachmanach.

Patrzyliśmy więc na niego i na jego wzruszenie, jak na radosne dla nas widowisko. Przecież to tak przyjemnie śmiać się i radować z czyjegós nieopanowanego uczucia. A kapo stał przed nami, wciąż podobny do proroka o twarzy wniebowziętej łasicy, śmieszny i poniekąd już współczucie budzący, wciąż z rozczapierzonymi palcami przed sobą i czekający naszej odpowiedzi z grymasem bolesnego niepokoju.

— Wiecie, czego chce morze? — wołał prawie prosząco.

Złitował się nad nim ponury Hiszpan.

— Nie wiemy! — rzekł za wszystkich, łumiąc w sobie śmiech.

— To ja wam powiem!... Ja wam powiem, bo wy nie wiecie!... — ciskał w nas zduszone słowa. — Ja wam powiem! Morze chce życia człowieka!... Nie tak, jak „esman”, nie tak, jak śmierć w cuchnącym łóżku, wśród beczących dzieci i kiedy żona gzi się z gachami w krzakach nad rzeką!... Nie! Morze chce życia człowieka wolnego, morze chce... Cholera, bo nie umiem tego powiedzieć!... Powiedz za mnie, Jarda!... Powiedz tym idiotom, tym zdechłym psom śmierdzącym!... Powiedz, Jarda!...

To już dopełniło miary. Hiszpan pierwszy zaczął, my za nim. Gruchnął obłąkany śmiech, gruby, rehotliwy, zanoszący się do łez, śmiech bez pamięci. W jego czkawce wyzwał się w nas tajony odwet za doznawane upokorzenia ze strony kapo. Przynosił nam ulgę, taką uciszącą ulgę.

— Pleciesz trzy po trzy, kapo! — zaczął mój przyjaciel Hans, kiedy zbiorowy śmiech sfołgował. — Ja już byłem raz na morzu, a wtedy rzygałem!... Jak ostatnia świnia, spita ordynarną wódką...

— Jarda — wrzasnął kapo, przecinając nasz ponownie rosnący śmiech. — Jarda, powiedz tym psom świńskim!...

Jarda przez cały czas słuchał w milczeniu. Siedział na beczce i słuchał. Jego gruby brat ślinił się rozmazany uśmiechem, patrząc raz na kapo, drugi raz na nas, a trzeci brat-suchoćnik wsparł łokcie na kolanach, brodę na dłoniach i spluwał na kupę obierzyn. Rozmyślał o swoich suchotach.

Teraz Jarda zsunął się z beczki, stanął przed nami. I znowu spokojny, opanowany, o wspaniałych oczach człowieka mocnego.

— Kto z was nie wierzy, że jest Bóg? — zapytał w ciszy.

Nikt z nas nie odpowiedział. Pytanie bowiem było tak nieoczekiwane, że nas poraziło swą dziwną odrębnością. Jakżesz w tej chwili zebrać rozpieczętę myśli, zebrać je w garść, stłoczyć w tamto zagadnienie i odpowiedzieć? Suchy piasek sypie się z zaciśniętej dłoni, podobnie jak nasze myśli sypały się bezradnie w tej skupionej ciszy. Para brzęczała tylko nad nami na kształt potrząsanych kamyków w blaszance, woda bełkotała w rurach, a kapo wytrzeszczył oczy i dyszał ciężko. Podobny był ze swymi w pół otwartymi ustami do ryby wyrzuconej na brzeg.

— Kto z was nie wierzy, że jest Bóg — zaczął znowu Jarda — niech idzie nad morze — mówił spokojnie, twardo, z wysiłkiem szukając słów w obcym dla siebie języku. — Jeżeli nigdzie nie chcesz zobaczyć Boga, to Go ujrzyś na morzu!... Ktoś inny widzi Go w gwiazdach, jeszcze ktoś inny w swoim sercu, a wy wszyscy, i ty kapo, wy Go zobaczycie na morzu!...

— Głupis! Nie ma Boga!... — wrzasnął zaperzony kapo.

Inni powstawali z ławy, chcieli również krzyżeć, chcieli po prostu przytakiwać lub zaprzeczać, zanosilo się na niebywałą w dziejach naszej piwnicy namiętną dysputę teologiczną, kiedy ktoś tam u wejścia stojący syknął donośnie:

— Szef idzie!

I jakby wicher dmuchnął w płomienie perzu, zgąsło wszystko w oka mgnieniu, wszyscy skulili się nad cebrykami z kartoflami, wszyscy zaczęli je obierać, a kapo oparł się o basen. Dygotał ze strachu. Przecież szef idzie. Jeżeli zauważy, że nie pracowaliśmy, będzie piekło. Będzie straszne piekło!... Kapo gotów wylecieć z pracy w kuchni za karę i dostać się na transport. A pójście z transportem do innego obozu równało się prawie śmierci. A kapo nie chce umierać. Kapo chce doczekać się wolności, kapo chce wrócić między ludzi, kapo musi wrócić między wolnych ludzi!...

Przyszedł szef, ciężki, odęty, patrzący spode łba na naszą pracę. Jego spojrzenie przechodziło powoli z więźnia na więźnia, zatrzymało się dłużej na Jardzie, potem spęzło na kapo. Kapo trząsł się wyraźnie, drętwiał, a jego grdyka z pofałdowaną skórą poruszała się, jakby z wysiłkiem przetykała stężoną ślinę. Szef spojrzął jeszcze do base-

nów, spojrzął do naszych cebrzyków, schylił się, wyjął z wody obrany kartofel, obejrzał dokładnie. Nie znalazł na nim „oczka”. Rzucił go niedbale na kupę obierzyn i wciąż milcząc zawrócił do wyjścia. Przy drzwiach zawołał:

— Kapo!...

Głos jego był ostry, płaski, nadęty pychą i pogardą.

— Rozkaz, panie Sturmführer!... — wybełkotał kapo w biegu i stanął przed nim na baczność.

— Czemu nie meldujesz, ilu masz ludzi?

— Herr Sturmführer... melde gehorsamst... — krztusił się opornymi słowami.

Wydusił w końcu świętą formułkę, szef zaś wykrzywił usta i wyszedł.

Odtąd rozpoczęły się dla nas dziwne dni. W każdej wolnej chwili kapo powracał do rozmowy o morzu, chwalił się swymi przeżyciami na nim, opisywał je z zachwytem, usiłował nas przekonać, wywołać w nas zdumienie, oszołomić nas jego potęgą. Myśmy słuchali, jak słucha człowiek trzeźwy głędzenia pijaka. Kpiliśmy z jego uniesień, dworowaliśmy z jego wzruszeń, a równocześnie radowaliśmy się, bo odkrywaliśmy u niego tę słabą stronę, w którą można będzie najskuteczniej uderzyć w takiej chwili, gdy będzie trzeba go porazić i upokorzyć.

Jarda trzymał się na uboczu, tylko jego gruby brat uśmiechał się wciąż do wszystkich i przymilał potakiwaniem, a trzeci brat, suchotnik, kaszłał i spluwał w dłoń i długo patrzył w plwociny. Oglądał je pod światło, marszczył brwi, grzebał w nich palcem, a potem wzdychał i ocierał dłoń obierzynami.

— Jest krew? — pytał go mój przyjaciel, Hans ze Sudetów.

— Jest!...

— No, to długo nie będziesz się już męczył w obozie... Umrzesz i skończone.

— Nieprawda! — protestował gwałtownie suchotnik.

— Prawda, nieprawda... Powiadam, że umrzesz i skończone!... Czy ci żal takiego zasn... życia?...

Rozmowę przerywał Jarda.

— Brat nie umrze — mówił twardo. — Już ci tyle razy mówiłem, że nie umrze!...

— A dlaczego nie miałby umrzeć? — nalegał Hans.

— Jadran go wyleczy!... Wiesz? Morze go wyleczy!...

Kilka razy powtarzała się ta sama rozmowa i za każdym razem stanowiła hasło dla kapa. Kapo bowiem w tej samej chwili przemieniał się znowu w ascetycznego proroka, obłąkanego narastającą ekstazą

i znowu zaczynał głosić swoje koślawe hymny na cześć morza. W hymnach tych było może więcej kobiet nadmorskich i ich miłości, aniżeli samego morza, może było więcej niesamowitych przygód bohaterkich i łgarstwa zwykłego obieżyświata, aniżeli zachwyty nad istotą morza. Aczkolwiek bywały dni, w których usuwał siebie na daleki plan i przemieniał się w bezinteresownego bałwochwalcę morza.

— Nie ma Boga, ale jest morze!... — wołał do nas pewnego razu, rozczapierając znowu palce przed sobą i przechylając głowę do tyłu. — Jest morze, lecz nie ma Boga!... Jarda jest głupi!... Morze jest mądre!... Morze jest mądre, jak ani nie wiem kto!... Morze jest tak wielkie i tak głębokie, i tak piękne!... Morze jest... Ale wy jesteście głupi! Wy tego nie zdolniście pojąć!... Wiecie, jakie jest morze?... Jarda, ty psie zdechły, powiedz, do wszystkich diabłów, tym idiotom, jakie jest morze!... Przecież ty wiesz!... Te bydlaki śmieją się ze mnie, bo nie wiedzą!... Jarda, powiedz!...

Jarda zwykle zbywał milczeniem „wygłupianie się” kapa, jak określał Hans tamto jego egzaltowanie się morzem.

Jarda zdawał sobie sprawę, że ma tutaj do czynienia z jakimś osobliwym obłądem, któremu stopniowo wszyscy ulegamy. My także wiedzieliśmy o tym. Broniliśmy się kpinami i śmiechem, zastanawialiśmy się przed nim logicznym rozumowaniem, nie wiedząc, że nasze rzekome logiczne rozumowanie już dawno schodzi na bezdroża, że się gubimy w przesłankach, że my w ogóle nie myślimy już logicznie, lecz żyjemy tylko odruchami roztrzęsionych nerwów, że namu tylko krok od obłądki, w jakim pogrążał się kapo.

Kapo zarażał nas nieuchronnie swoją histerią, swoim kompleksem, swoimi urazami psychicznymi. Uważał siebie za normalnego człowieka, nas wszystkich zaś za zgraję głupców i obłąkańców. Powtarzał nam to po kilka razy dziennie, z jakimś maniackim uporem.

Czasem udawało mi się jakoby oddalić z kręgu jego wpływów i patrzeć na niego innymi oczyma. Wymagało to sporego wysiłku, lecz wysiłek opłacał się szczerze. Bo wtedy można było oglądać kapa, jakby jakieś patologiczne indywiduum w panoptikum. Budziło to we mnie wesołość, współczucie i przażenie. Śmieszyła mnie jego bezradność, jego szamotanie się, koziołkowanie psychiczne, jego spoglądanie na życie i jego sprawy z jakiejś cudacznej perspektywy. Robił wrażenie człowieka, który uparł się, by stać na głowie i z tego

położenia patrzeć na świat. A to wszystko było ogromnie śmieszne.

Po raz pierwszy zacząłem z nim współczuć, kiedy kolega mój z Alzacji zapytał, czy widziałem grupę Laokoona w Watykanie.

— Czytałeś „Eneidę” Wirgiliusza? — rozpoczął nieoczekiwanie między jednym obranym kartoflem a drugim, ujętym w dłoń.

— Czytałem! — rzekłem zdumiony.

— Drugą księgę. Wiesz, a ten ułit o Laokoonie czytałeś?

— Czytałem. Ale do czego zmierzasz?

— Poczekaj!... A widziałeś ową grupę Laokoona w muzeum Watykańskim?

— Widziałem...

Sędzia alzacki spojrzał na mnie z szacunkiem, zmieszany z niedowierzaniem.

— A przypominasz sobie dobrze samego Laokoona? Nie jego dwóch synów po bokach, lecz jego samego?...

— O tak!... Jestem wzrokowcem, mam dobrą pamięć wzrokową! — pochwaliłem się z jakimś podświadomym snobizmem.

— Nie o to chodzi!... Czyś wzrokowcem czy słuchowcem, wszystko fraszka!... Lecz chodzi mi tutaj o samego Laokoona z tamtej grupy. Widzisz go teraz dobrze? W wyobraźni? Jak się rozpaczliwie broni, jak się wygina boleśnie, jak cierpi, jaka jego twarz pełna tragizmu, jak szamoce się jego dusza, jak strasznie cierpi?... Wiesz Laokoon, to symbol człowieka w obozie. Tego człowieka, skazanego na śmierć, dziś jeszcze żywego, lecz już ukrzyżowanego, już cierpiącego, już pełnego tak strasznego tragizmu, jaki spotkasz jedynie w greckiej tragedii!... Przypominasz sobie dobrze?

— Tak...

— A teraz popatrz na naszego kapa. To drugi Laokoon! W miniaturze wprawdzie, w niezdarnej i w barbarzyńskiej miniaturze, lecz tak samo szamocący się i cierpiący, jak ów antyczny Laokoon. Widzisz?...

— Tak...

— A nie tylko kapo! My wszyscy stajemy się owymi Laokoönami!... I my wszyscy podzielimy jego los!

— Czyj?

— Kapa — Laokoona!...

I od tej chwili widok rosnącego obłędu u kapa napełniał mnie przerażeniem. I wtedy po raz pierwszy powstało u mnie pragnienie, że albo on, kapo, musi nas opuścić, albo ja muszę stąd odejść. Lecz jeżeli stąd odejdę, nie będzie kartofli, którymi można dzisiaj sycić parszywy głód i bronić się śmierci!... Koledzy moi umierali pokotem, z głodu, z wycieńczenia, na

tyfus, na wodną puchlinę, na flegmonę, konali pod zastrzykami benzyny w lazarecie, konali pod ścianami baraków, na błocie, w ustępach, lub czołgali się ostatnim wysiłkiem na linię obstrzału posterunków, na elektryczne druty kolczaste lub zgoła wieszali się w umywalni lub na krokwi w wychodku!... A przede wszystkim umierali z głodu!... Nie! Kapo musi nas opuścić, jeżeli nie chcę zarazić się jego obłąkaniem lub jeżeli nie mam dzielić losu swoich kolegów w obozie, dosłownie zdychających z głodu!... Kapo musi odejść!...

I kapo istotnie odszedł.

Rozpoczęło się od zwykłej, codziennej pogwarki na ławie przy obieraniu kartofli. Kordicz-suchotnik znów rozkaszał się, zakrztusił i zakrył usta dłonią. Potem jął patrzeć z niepokojem na płwocinę w dłoni.

— Jest krew? — zapytał, jak zwykle, mój przyjaciel Hans.

— Jest! — westchnął suchotnik.

— Bracie, wyjedziesz kominem!... — pocieszył go po swojemu, z tym okrucieństwem, które dla nas jednak nie było okrucieństwem.

— Nie pojedę! — zaprotestował gwałtownie suchotnik. I już teraz nie pytany, jął opowiadać o Jadrzańskim morzu. Że ono takie łagodne, jak matka. Że takie błękitne, jak oczy matki. A matka ułoży go na brzegu, na wyspie Rab, bo tam mieszkają jego rodzice... Matka ułoży go na brzegu i każe mu godzinami patrzeć w niebo, odpoczywać i oddychać jadrzańskim wiatrem. O właśnie, ten jadrzański wiatr!... Jaki on łagodny, ciepły, pachnący morzem i słońcem, w posmaku słony, a przede wszystkim gojący płuca schorzone. Przyjeżdżali bogaci ludzie z całego świata nad jego Jadrzańskie morze, na wyspę Rab, a płuca mieli już zżarte gruźlicą, i po kilku miesiącach wracali zdrowi do swej ojczyzny. Umarła jedynie młoda dziewczyna gdzieś z północy. Z Czech czy z Polski, tego już nie wie. On ją całował i całował, i jej usta i jej piersi, a ona płakała. Bo nie chciała umierać. Ale umiała!... O tak, umiała, chociaż modlił się godzinami przed cudownym obrazem Matki Boskiej na świętym Kopieczku, prosząc o zdrowie dla i tamtej dziewczyny. Dziewczyna umiała!... Błagał godzinami Matkę Boską, prosił, żeby jego wzięła, a dziewczynę zostawiła przy życiu. Nie!... Matka Boska wzięła dziewczynę, a teraz może na niego kolej!... Gruźlica umierającej dziewczyny jemu się udzieliła!... Za karę!...

— Za jaką karę? — zapytał zasłuchany sędzia alzacki.

— Bo nasza miłość była grzeszna!... A Matka Boska nie lubi takiej miłości!...

— Mój brat wyzdrowieje! — wtrącił nieoczekiwanie drugi Kordicz, ten gruby. — Mój brat wyzdrowieje, gdy tylko wróci nad nasz Jardan!... Tu cierpi głód, a tam, hoho!... Tam przede wszystkim będzie jadał homary!... Kto już z was jadał homary?

— Ja!... — wrzasnął uradowany kapo, lecz gruby Kordicz nie pozwolił mu mówić.

— Takich homarów, jakie są u nas, nie ma nigdzie, w żadnym morzu!... Jedyne u nas są takie. Tłuste, mięsiste, strasznie dobre!... A kto jadł barana na rożnie upieczonego? Nikt z was?... A mój brat będzie go jadał. To bywa jagnię tłuste, bardzo tłuste, odarte ze skóry, wypaproszone, nadziane na długi szpikulec... To się nazywa rożen! Pod rożnem płonie



(Rys. St. Westwalewicz)

ognisko a nad ogniem obracam jagnię i obracam. Jagnię smaży się, piecze pomalutku, rumienieje, a tłuszcz splywa z niego i kap! kap! kap! do ogniska!... Płomień podnosi się, rumieni się jagnię, a taki zapach na około, że aż ślina idzie do gęby!... A jakie wino u nas!... Ho, ho!... Wy nie wiecie!... Mój brat wróci i gdy sobie poje takiego jagnięcia z chrupiącą skórą, gdy zapije winem, gdy zakąsi homarem, gdy otrze sobie brodę z kapiącego tłuszczu raz i drugi, będzie zdrowy!... Ho, ho! ja wiem dobrze!... Prawda,

Jarda?... — zwrócił się do trzeciego brata i aż cmokał z zadowolenia. Jego twarz przemieniła się w uszczęśliwoną pełnię księżycą, a uśmiech rozpromienił ją szeroko, oczy zaś stały się małe i wilgotne.

Opis tłustego jagnięcia, pieczonego na rożnie, bkapującego tłuszczem do ogniska, a potem po brodzie, zapijanego winem, wywołał w nas jakieś lubieżne sycenie się wyimaginowanym smakołykiem. Wszyscy przełękali ślinę, ruszali ustami i grdyką, a ślina napływała wciąż do ust i wyciekała ich kącikami lepką nitką.

Kapo ślinił się najmocniej.

Kapo w ogóle najmocniej przeżywał wszelkie niedosyty. Niedosyt władzy, niedosyt żarcia i niedosyt seksualny. Zaspokajał je surogatami sytości. Niedosyt władzy uciśzał w sobie pastwieniem się nad szcurem w basenie i nad nami; niedosyt żarcia — pożeraniem wszystkich ochłapów z kuchni „esmańskiej”, bez dzielenia się z nami, a czym już naruszał mocno niepisane prawo tak zwanego „Kameradschaft'u”; głód seksualny zaś przechodził u niego w obrzydliwą obsesję, w brudny, ordynarny, chorobliwy nałóg opisywania lubieżnych scen miłosnych, w ustawicznym, prawie na naszych oczach uprawianym samogwałcie i w zwyrodniałej skłonności do młodych chłopców. Był nam więc istotnie owym truchłem cuchnącym — jak go nazywał Hans — budzącym w nas wstręt fizyczny. Ów wstręt był tak silny, że nie byliśmy zdolni brać pod uwagę tej okoliczności łagodzącej, iż to wszystko było produktem jego długoletniego życia w obozie koncentracyjnym.

Teraz, podczas opowiadania grubego Kordicza o tłustej pieczeni baraniej ślinił się najobrzydliwiej. Młaskał głośno, przełatywał ślinę, oczy jego przymykały się, a jego twarz b wyrazie płochliwej łasy przybierała podobieństwo pyszczka wychudzonego kota, który najadł się do syta i teraz leży w słońcu i przeżywa błogość napelnionego żołądka.

Poderwał się dopiero, ożywił gwałtownie, kiedy Jarda rozpoczął mówić o swoim Jadranie. Podniósł się, otworzył szeroko oczy i w miarę opowiadania Jardy podnosił przed siebie dłoń z rozczapierzonymi palcami. A Jarda tymczasem mówił!... Boże, jak on mówił! To nie było już opowiadanie, to był wspaniały, pochwalny hymn na cześć morza i słońca, jakieś pogańskie czy świętofranciszkańskie radosne uwielbianie ich urody, jakiś panteistyczny rapsod morski!...

— ...Jadrańskie morze szumi i szumi, a wichry lecą z daleka i również szumi!

Morze jest błękitne, a wichry są również błękitne. Wichry rwą morze na białe, pieniste strzępy i ciskają o brzeg Rabu!... Morze śpiewa, morze woła, morze krzyczy i krzyczy, pijane swoją młocą!... Morze Jadrzańskie, to sam Bóg, bo jest tak wieczne, jak sam Bóg i tak wspaniałe, jak sam Bóg!... Morze modli się najwspanialszą modlitwą w swym ryku, w krzyczącym morzu krzyczy sam Bóg!... Taki ogromny, wspaniały, niepojęty Bóg!...

Słuchaliśmy w zdumieniu, gdy Jarda przemienił się teraz w naszych oczach w jakiegoś radosnego bałwochwalcę, obłąkanego swym morzem. Głos jego podnosił się, przybierał tony ekstazy, porywał nas, wynosił na szczyt swego uniesienia, przemieniał w słonecznych szaleńców, których błętała wizja wolności, przestrzeni i słońca!... Nie było już w tej chwili kolczastych drutów, nie było przekleństwa niewoli, nie było niczego, co nas przemieniało w stado zaszczutych zwierząt, ze wszech stron osaczonych potworną śmiercią, a byliśmy w tej chwili ludźmi wolnymi, idącymi w świat po jego nieobeszłe granice, byliśmy ludźmi pijanymi słońcem, przestrzenią, wichrem podniebnym, morzem, wolnością!...

Mój przyjaciel Hans oparł się o betonowy słup i szlochał, a mój drugi przyjaciel, sędzia z Alzacji, skulił się na ławie, zakrył twarz dłońmi i dyszał ciężko. Kapo zaś, ten dziwny już pokurcz ludzki, oszalał!... Dosłownie oszalał!... Ujął się dłońmi za głowę i jał teraz chodzić między cebkami z kartoflami, jak nieprzytomny, jak prawdziwie obłąkany, i bez przerwy powtarzał wysokim, piskliwym, zawodzącym tonem:

— Das Meer, mein Gott, das Meer!...

Zbiorowe oszłomienie dochodziło do największego natężenia, Jarda głos nabrzmiewał najwyższymi tonami uwielbienia, gdy zniemacka wpadł między nas Francuz Roger o wylupiastym lewym oku, pełnym przerażenia:

— Cicho, wy głupia!... Szef idzie, szef!...

Lecz nie zdążył. Gruby szef o gębie rzeźnika wpadł do piwnicy.

My wprawdzie zdołaliśmy w porę zwalić się na łeb, na szyję w ponurą rzeczywistość, zdołaliśmy w porę przycupnąć nad kartoflami, lecz kapo nie zdołał. Już wszyscy obieraliśmy kartofle, a kapo, jakby nie widział i nie słyszał szefa, chodził wciąż po piwnicy, trzymał się dłońmi za skronie i skomlał:

— Mein Gott, das Meer, das Meer!...

— Kapo! krzyknął szef. — Was ist los!...

Kapo nie słyszy. Chodzi w kółko i kwili

bez przerwy. Odwróciłem się spojrzałem w jego twarz. Oczy miał szeroko rozwarte, błędne, wpatrzone gdzieś przed siebie, już nic nie widzące, jak tylko to morze, to ogromne, bezkresne, wolne morze!...

Szef poskoczył, trzasnął go na odlew w twarz. Kapo zwałił się na posadzkę. Leży teraz na kupie obierzyn, z rozciętego na basenie policzka cieknie niteczka krwi, lecz trzyma wciąż skronie w dłoniach i mamle wciąż tarnte słowa:

— Mein Gott, das Meer, das Meer!...

Skńczyło się rychło ze wszystkim. Szef kopnął kilka razy kapo, potem kazał go zaprowadzić do lazaretu. Na oddział dla obłąkanych. Prowadziło go dwóch naszych kolegów. Nie bronił się, nie opierał, tylko powtarzał cichym już teraz głosem, podobnym do płaczu: „Das Meer, mein Gott, das Meer!... W lazarecie przejął go kapo rewirowy.

— Co, zwariował? — zauważył rubasznie. — Hm, nic nowego! Jutro, pojutrze jego obłąkana dusza wyleci kominem!...

Otworzył drzwi i pchnął go do wąskiego pokoju o zakratowanych oknach. Na podłodze siedziało kilku obłąkanych, czekających zastrzyku, by ich dusze mogły także wylecieć kominem krematorium.

Gdy koledzy wrócili, zastali w piwnicy nowego już kapo. Kapem został nasz Jarda.

Gustaw Morcinek



(Rys. A. Werner)

Panorama sztuki włoskiej

II.

W Europie środkowej i zachodniej, z początkiem XV wieku, gotyk jeszcze trwa w postaci wciąż żywej tradycji, która dopiero zaczyna powoli zwracać się ku nowym poszukiwaniom. Natomiast we Włoszech gotyk w tej epoce został już przewyższony nawet tam, gdzie przetrwały jeszcze pewne stylistyczne „dogmaty” o zabarwieniu gotyckim. Właściwie biorąc, przewyżczenie to dokonane zostało już u Giotta.

Wielki Masaccio (1401-1428) jest już daleki od gotyku. W kaplicy Brancacci (w kościele del Carmine we Florencji), gdzie w swej



Florencja, kościół „del Carmine”.
Masaccio: „Święty Piotr rozdający jałmużnę”

wczesnej młodości zaczął on wprowadzać właściwy sobie nastrojowy i wyrazisty światłocień — rozpoczęło malarstwo włoskie i europejskie nowe życie i dążenie do zupełnie nowych celów. Wraz z Masaccio narodził się głęboki nurt spekulatywnej myśli Odrodzenia. Było to zjawisko zasadniczo i na wskroś włoskie i dopiero później stało się ono „zdobyczą” sztuki europejskiej.

W XV wieku w koncepcji piękna zaczyna

przeważać rzeczywistość w przeciwstawieniu do piękna odczuwanego w sposób abstrakcyjny, oderwany jako asceza. Wymaganiom uduchowienia nie wystarcza już sam mistyczny średniowieczny, którym przepojony jest gotyk. Można by powiedzieć, iż samo „uduchowienie” nie wystarcza. Dołącza się do niego „rozum”. Dążyć się zaczyna do pewnego rodzaju chrześcijańskiego pogaństwa. Sztuka powoduje zbliżenie się pojęcia boskości z codziennym życiem w sposób bardziej bezpośredni i żywy. Życie, ze swymi popędami i namietnościami zaczyna przenikać sztukę. I przez to pojęcie boskości się humanizuje, uczłowiecza.

Tak jak po nieziemskich, muzyką przepojonych Madonnach utrzymanych w stylu romańskim lub gotyckim nastąpiły rozkwitające Madonny ze szkoły florentyńskiej XV w., tak samo w architekturze wzniosłemu rozpaczliwemu i przeźroczeniu unerwieniu pnących się ku górze naw Brunelleschi (1377-1446) przeciwstawia zupełnie nowe poczucie formy. Rozmach i asceza, wyszedłszy poza tradycyjne reguły budownictwa gotyckiego, zwiastują triumf nowej architektury, którą Brunelleschi urzeczywistnił w dwóch podstawowych zabytkach: Kaplicy Pazzi we Florencji i również we Florencji — kościele Św. Ducha. Zrozumienie tych dwóch zabytków, wczucie się w ich nowego ducha jest warunkiem „*sine qua non*”, nieodzownym dla zrozumienia nowej epoki, nowego stylu i jego stopniowych faz rozwoju. Podobnie złożony jest proces rozwoju w dziedzinie rzeźby, gdzie pierwsze miejsce zajmują: Lorenzo Ghiberti (1378-1455), Jakub della Quercia (1374-1438) i Donatello (1382-1460).

Renesans artystyczny i kulturalny w ogóle, znany pod nazwą Odrodzenia, dzieli się na dwa okresy. Pierwszy — początkowy i rozwojowy (Pierwsze Odrodzenie), trwający aż do Michała Anioła, Raffaella i Leonarda da Vinci, drugi — wraz z tymi trzema wielkimi artystami trwający po nich (Drugie Odrodzenie) — jest okresem końcowym, apoteozy i upadku jednocześnie, zwłaszcza we Florencji i całej Toskanii. Starano się dać różne określenia na Odrodzenie, jako zjawisko artystyczne, ale dotychczas nie ma takiej definicji, która łączyła by w sobie całą treść i wyjaśniała nowego ducha epoki. Można więc powiedzieć, iż Odrodzenie stanowi triumf poznania rozumowego i smaku



Brunellesco: kopuła katedry florenckiej

w obrębie realistycznych poszukiwań prawdy w przyrodzie. Ale i to jest prawdziwe tylko częściowo. Należałoby może powiedzieć, że Odrodzenie razem wzięte z Humanizmem jest nawrotem do wizji i ideałów klasycznych. Ale sztuka klasyczna, starożytna, przywrócona go godności i badana, stała się dla artystów Odrodzenia środkiem, a nie celem. Można wreszcie powiedzieć, iż Odrodzenie dąży od samego swego początku do nadania życiu ludzkiej wartości. W człowieku ważny jest człowiek, on tylko się liczy, jego należy cenić. Jest to kult czystej natury.

O Odrodzeniu włoskim istnieje olbrzymia literatura. Nie polecam jednak amatorowi sztuki jej zbytnie zgłębianie. Wszystko jest napisane w tych dziełach. Im kto jest bardziej pogłębiony duchowo, tym lepiej zrozumie wielkie znaczenie arcydzieł Odrodzenia. A kto ich nie rozumie, ten na próżno sięgać będzie po uczone księgi.

Niewątpliwie w sztuce Pierwszego Odrodzenia nowym i znamienym czynnikiem jest naukowe założenie poszukiwań artystycznych. Tworzenie dzieł sztuki nie jest już tylko procesem artystycznym, takim, jak go rozumiało Średniowiecze, t. j. sensem i wdziękiem obrazowego kształtowania w kanonach wymagań religijnych. Obecnie występuje prawdziwa metoda naukowa w poszukiwaniach artystycznych, przy ustanawianiu i harmonizowaniu przyczyn i

skutków. Nie jest już tak ważne to, że coś jest, jak to, żeby ustalić, dlaczego powinno takim być?

Nawet przy takim uproszczeniu sprawy, zagadnienie Odrodzenia wydaje się rewolucją w dziedzinie sztuki i to największą rewolucją w dziejach kultury artystycznej Europy. Rewolucja ta przygotowana została i zarysowana w Toskanii. Z Toskanii rozprzestrzeniła się na całe Włochy, a z Włoch na całą Europę. Ale tylko na terenie Włoch sztuka Odrodzenia jest oryginalnym i pełnym znaczenia zjawiskiem artystycznym.

Aby nie wydawało się, że jestem przesadnym reakcjonistą artystycznym, wspomnę, że podobna rewolucja o mniejszym zasięgu osłatecznym, ale o założeniu równie wielkim, miała miejsce w XIX w. i trwa do dziś, a mianowicie w zakresie poszukiwań i zdobyczy francuskiej szkoły malarskiej.

Wracając do Odrodzenia należy zaznaczyć, iż błędem byłoby twierdzić, że cała sztuka okresu Odrodzenia jest we Włoszech jednolita... Odrodzenie ma nie jedno tylko oblicze. Artysta stał się indywidualnością,



*Florence, Muzeum Narodowe.
Donatello: „Św. Jerzy”*

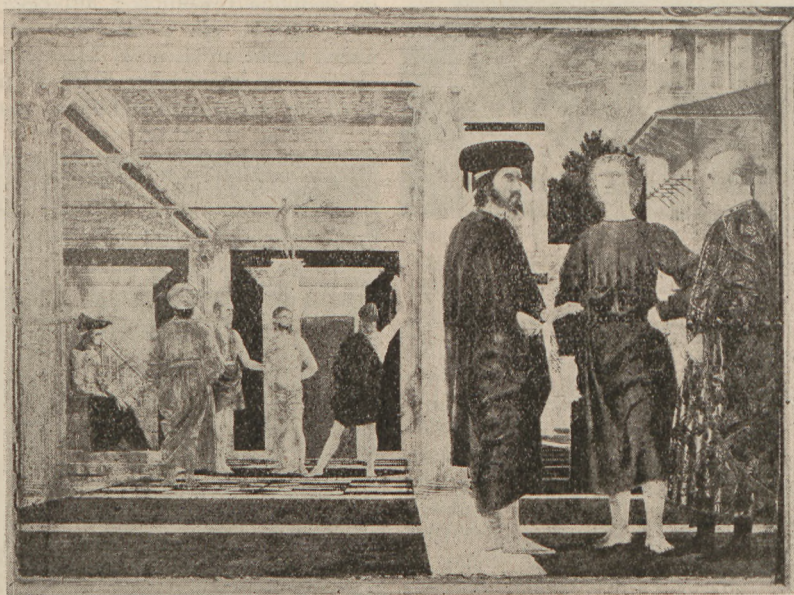
jednostką, i stał się osobistością, osobowością. Nie tylko jest on świadomy swych własnych możliwości, ale wie również, że jego sztuka jest tym nowym słowem, które on, jako jednostka i osobowość, jednostkowo

i osobiście ma do powiedzenia ludzkości. I to być może jest tajemnicą wielkości sztuki odrodzeniowej.

Ale z tego też wynika fakt, że okresy tej wielkiej przygody artystycznej nie są wszędzie te same i nie pojawiły się wszędzie jednocześnie. Należy pamiętać, iż niewiele narodów i krajów—jak Włochy—znały w swym języku, w swej literaturze i w sztukach i znają jeszcze do dziś żywe zjawisko regionalizmu. Błędem jest myśleć, iż „odmienności” regionalne dadzą się utożsamiać z różnicami „rasowymi”. Chłop lombardzki odczuwa i rozumie sztukę tokańską tak, jak tokańczyk odczuwa i

Lippi, Benozzo Gozzoli, Andrea del Castagno, Pollaiuolo, Andrea Verrocchio, Botticelli, Ghirlandaio, Michał Anioł, Leonardo... gdy zacytujemy tylko największych) i szkoły weneckiej (Vivarini, Bellini, Carpaccio, Giorgione, Tycjan, Tintoretto, Veronese..., znów, cytując tylko największych).

Umbria, Lazio, Emilia, Veneta, Lombardia, wszystkie prowincje włoskie biorą udział w tym wielkim „współzawodnictwie” piękna i ideałów „głoszonych” w okresie.. Odrodzenia. Przy czym każda z tych prowincyj występuje ze wszystkimi swoimi właściwościami i wielkimi indywidualnościami artystów. Niesposób śledzić tej zadzi-



Pałac w Urbino. Piero della Francesca: „Biczowanie”

rozumie sztukę lombardzką, wenecką, czy z jakiegokolwiek innej prowincji. Pojęcie, czy koncepcja informująca jest jedna i jedyna, tylko jej interpretacja jest różna. Tylko napięcie jest inne w wypadku bardzo rozmaitej gamy założeń fantastycznych i odkrywczych, w wypadku zadziwiającego bogactwa form i to w większym stopniu niż w wypadku różnych tendencji, szkół czy manier.

Istota genialności tego ducha łacińskiego w kulturze włoskiej polega na potrzebie oryginalności, a zatem i współzawodnictwa, przewagi, bez przeciwnictwa nawet. Typowym przykładem tej zadziwiającej tendencji są różne fazy i odmienne koleje rozwoju dwóch najważniejszych szkół malarstwa Odrodzenia: florenckiej (Masaccio, Angelico, Piero della Francesca, Paolo Ucello, Filippo

wiąjącej, cudownej wręcz, przygody dziejowej poprzez wszystkie prowincje i poprzez wszystkie jej fazy. Ani też niesposób bez zbytniego naciągania sądzić, która z tych prowincji miała bezwzględną przewagę nad innymi w tej ogólnej panoramie, jaka powstała w w. XIV i XV we Włoszech. Obok Toskanii i Wenety w okresie początkowym nie brak również i w innych ośrodkach wielkich artystów. Gdy zaś jeden ośrodek, jak Sycylia, liczbowo ubogi w malarzy, dał taką osobowość jak Antonello da Messina, to znów Siena, która może nie wydała w XV w. osobistości pierwszoplanowej, obfitowała w całą rzeszę artystów, którzy stworzyli jedną z najsławniejszych szkół włoskich.

Jak powiedzieliśmy, Florencja i Wenecja stały na czele ruchu. Artysty florency i



Michał Anioł: „La Pietà”



Paryż, Muzeum Narodowe.
Leonardo da Vinci: „Św. Jan Chrzciciel”



Wenecja, kościół „dei Frari”
Fragment „Wniebowzięcia N. M. P.” Tycjana



Wenecja, Akademia Sztuk Pięknych.
Tintoretto: „Portret doży Alvise Mocenigo”



Drezno, Pinakoteka. Giorgione: „Wenera”



Wenecja, Pałac Dożów. Veronese: „Porwanie Europy”

weneccy zakładali szkoły w innych prowincjach, szybko zdobyły one sobie zupełną niezależność i własne życie, jak np. szkoła lombardzka. Natomiast Wenecja wydała tak potężną indywidualność, jak Andrea Mantegna, którego wpływy sięgnęły na całe Włochy i którego arcydzieło—freski w kościele Eremitanów w Padwie, jedna z najwspanialszych kreacji myśli ludzkiej, zostały zniszczone przez bombardowanie lotnicze.

Może wydać się dziwne, że w tym związłym szkicu informacyjnym nie zatrzymuje się przy dwóch „wielkich trójkach” z XV stulecia: Rafael, Michał Anioł i Leonardo da Vinci z Włoch środkowych oraz Tycjan, Tintoretto i Veronese z Włoch północnych. Stanowią oni zamknięcie ponad stu lat poszukiwań. Dochodzą każdy z osobna do odmiennych wyników, jakkolwiek ideał jest jeden. Jako wyraz odmiennych niepokojów, odmiennych dramatów i odmiennych syntez twórczości i jednocześnie impotencji

twórczej—ich sztuka nie daje się określić słowami; zresztą nigdy to, co jest prawdziwą sztuką, nie daje się zdefiniować. Mówiąc o tych artystach powszechnie znanych, łatwo popaść w przesadę i komunąć. A nadto wielkość ich jest przyjęta jako rzecz oczywista, bez zdawania sobie jasno sprawy z prawdziwego znaczenia ich wielkiej przygody artystycznej.

Aby zrozumieć ich sztukę *trzeba nauczyć się czytać*. Trzeba opanować abecadło... języka artystycznego. Trzeba zacząć od sylabizowania na dziełach prymitywistów z XIII w., potem stopniowo przejść do zrozumienia ducha artystów, którzy przyszli po nich—na drodze uciążliwych i pełnych chwały poszukiwań. Wszystko to, co prowadzi do rzeczy *znaczącej*, wybitnej—jest cierpieniem i niepokojem, jest więc rzeczą słuszną, że *zrozumienie* opłacone być musi wielkim trudem i namysłem.

Carlo Verdiani

RECENZJA

Za jedyne dwadzieścia groszy

„Cechą charakterystyczną Polaków jest gorący temperament i wielka pobożność...” — czytam na str. 41 „Kalendarza Żołnierza 2 Korpusu A. P. 1946 r.” (*) i przywołuję na pomoc pierwszego z wyliczonych „tamże” świętych polskich, mego patrona, Kazimierza Królewicza, iżby mnie natchnął „*wielką pobożnością*”, ponosi mnie bowiem „*gorący temperament*”. Czytam kalendarz dokładnie, stronica po stronicie. Zdaję sobie sprawę z tego, że ocena opracowania „*podchorążych 2 Korpusu Dominika Ostoi i Zygmunta Ścibora*” powinna być bezstronna i sumienna, dlatego hamuję „*gorący temperament*”, ilekroć czuję jego przypływ.

Rok temu Polski Czerwony Krzyż ofiarował żołnierzowi polskiemu we Włoszech kalendarz, który spotkał się z zastrzeżeniami odnośnie formatu. Istotnie, format był trochę dziwaczny, prawie kwadratowy, lecz poza tym całość dość przyzwoita. Obecnie otrzymaliśmy od P. C. K. kalendarz prawidłowego formatu, lecz do treści można mieć poważne zastrzeżenia.

*) Kalendarz Żołnierza 2 Korpusu A. P. 1946 r. Opracowali podchorążowie 2 Korpusu Dominik Ostoj i Zygmunt Ścibor. Włochy 1945. Nakł. P. C. K. przy D-łwie 2 Korpusu A. P. Cena 20 lir.

Kalendarz na rok 1946 stanowi dziwną mieszaninę wzniosłych haseł, złotych myśli, wyjątków z poezji, ciekawych wzmianek z historii obyczajów dawnej Polski, dat historycznych, praktycznych wiadomości i wskazówek, wreszcie skończonych bzdur. A bzdur tych jest niestety dużo. Na skórze wołowej... Ilość ich powiększa niedbała, zapewne gorączkowa korekta. Przykro mi o tym pisać po przeczytaniu prostej, lecz szczerzej dedykacji, z jaką P. C. K. wręcza żołnierzowi dar noworoczny w postaci 125.000 egzemplarzy kalendarza. To dar hojny, jeśli się weźmie pod uwagę wysokość nakładu i kosztu z tym związane.

„Życzymy wszystkim — pisze P. C. K. — do których skromny ten kalendarz dotrze, by był on ostatnim przechowywanym w żołnierskim plecaku, by następny wydany już był w Kraju...”.

I opracowany inaczej, zupełnie inaczej — chciałoby się dodać. Bo ten... Lecz przejdźmy od gołosłownych twierdzeń do spokojnych rozważań „za” i „przeciw” omawianego wydawnictwa. Święty Kazimierz Królewiczu!...

Bardzo dodatnią stroną kalendarza są „Ważniejsze daty historyczne”, przytoczone (jeśli chodzi o okres do 1918 roku) według miesięcy, zależnie od rocznic, na dane dni

przypadających. Nie daje to oczywiście przejrzystego obrazu przeszłości, lecz nie można mieć o to pretensji, bo ostatecznie kalendarz nie jest podręcznikiem historii. Chronologiczny przegląd wydarzeń mamy dopiero za czas 1918-1939 (str. 97); nie zapomniano również o „kalendarzu obecnej wojny” ze szczególnym uwzględnieniem udziału w niej naszych wojsk (str. 112 i nast.). To bardzo dobrze, bo przypuszczam, iż kalendarz czytać będą nasi rodacy w Niemczech, we Francji i w innych krajach wolnej Europy, a może, może dotrze on jakimś cudem do Kraju i będzie pierwszym informatorem wielu faktów, nieznanych tam, czy też wynaczonych przez niemiecką lub sowiecką propagandę. Rozdział „*Jak powstał 2 Korpus*” przeczytają na pewno wszyscy. Przeczytają bardzo dokładnie, bo właśnie 2 Korpus stanowi dziś dla większości Polaków jedyną może ostoję nadziei, bo — czy kto chce, czy nie — ma już w historii miejsce zapewnione. I dlatego dzieje Korpusu należało opracować, siłąc się nie na styl (banalnie kwiecisty), lecz na sumiennosc w przedstawieniu faktów i cyfr.

Niezupełnie ściśle jest twierdzenie, iż „*rząd sowiecki zażądał w końcu wyjazdu oddziałów polskich z terenu Rosji*” (str. 154), gdyż to właśnie władze polskie, nie widząc możliwości wyszkolenia tych oddziałów i mając dostateczne dowody złej woli rządu sowieckiego, przeprowadziły starania o ewakuację. Nie należy wynaczać tych faktów; samo zestawienie kilku danych przemawia mocniej na naszą korzyść, niż gólosłowne zapewnienia. Prawda bowiem przedstawiała się następująco:

Mimo przyrzeczenia dostarczenia kompletnego uzbrojenia i sprzętu na 6 dywizji piechoty, władze sowieckie uzbroiły częściowo tylko jedną dywizję (braki w uzbrojeniu artyleryjskim oraz ppanc. i plot.), ponadto obniżyły przydział racji żywnościowych na rok 1941 do 30.000, wtedy gdy faktyczny stan Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR wynosił 44.000.

Po wizycie gen. Sikorskiego w Moskwie Stalin przystał na utworzenie ogółem 6 dywizji o łącznym stanie 96.000, po to, by po 3 miesiącach później obniżyć przydział porcji żywnościowych na 44.000 i zredukować ilość dywizji do 3. Reszta żołnierzy (ponad stan 44.000) miała być zdemobilizowana i użyta do prac w kołchozach. Gen. Anders nie zgodził się na umniejszenie sił zbrojnych i zażądał przyzwolenia na ewakuację do Persji.

Pozostałe po pierwszej ewakuacji 3 dywizje nie otrzymały broni, nie otrzymały

dostatecznego przydziału żywności. W początkach czerwca 1942 sytuacja była katastrofalna. Procent kurzej ślepoty wśród żołnierzy dochodził do kilkunastu. Epidemie tyfusu i azjatyckiej gorączki dziesiątkowały oddziały. Dowództwo radzieckie żądało wysłania na front niewyszkolonego i pozbawionego sprzętu wojska, a równocześnie władze NKWD aresztowały delegatów terenowych ambasady polskiej, rząd sowiecki zaś odmówił praw obywatelstwa polskiego Żydom, Ukraińcom i Białorusinom, pochodzącym ze wschodnich obszarów Polski. W tych warunkach druga ewakuacja okazała się koniecznością. Zabiegał o nią gen. Anders, lecz zabiegał o nią dopiero wtedy, gdy władze sowieckie uniemożliwiły pierwotny jego i gen. Sikorskiego plan użycia całości sił polskich na froncie wschodnim. Taka jest prawda.

Po cóż więc dla kwiecistego rzekomo stylu zaniedbywać te istotne dla nas argumenty? Tym bardziej, że kilka wierszy poniżej umieszcza się zdanie: „*Łącznie udało się gen. Andersowi wyprowadzić z Rosji 120.000 żołnierzy...*” Nieświadomy tych spraw czytelnik dostrzeże zapewne sprzeczność między owym „*rząd sowiecki zażądał wyjazdu*”, a „*udało się wyprowadzić*”. I będzie miał wątpliwości. A to niedobrze. Należało również podać dokładne cyfry. Na brak źródła nie można narzekać. Ukazało się niedawno bardzo pożyteczne opracowanie „*Polska Wschodnia 1939-1941*”, podające dokładne w tym względzie dane. 77.200 żołnierzy i 37.300 ludności cywilnej. Razem 114.500, co stanowi niepełne 7 % ogólnej liczby ludności wywiezionej przymusowo do Rosji, a nie 10 %, jak podano w kalendarzu. Karygodnym wydaje mi się stwierdzenie, iż ludność cywilną „*ewakuowano pod pozorem, że są to rodziny wojskowe*” (str. 154). Bardzo możliwe, że garstka ludzi pod tym pozorem się wydostała, lecz uogólnianie tego jest niesłuszne i szkodliwe. Nie styl, powtarzam, lecz fakty oparte na dokładnych danych przekonują. Silenie się na styl doprowadza czasem do bardzo niefortunnych wyników. Np. na str. 156 czytamy:

„*Tak to sławą oręza polskiego zakończył się ten krwawy etap drogi 2 Korpusu, drogi odbywanej nie tylko wśród huku dział i warkotu wojennych maszyn, ale i wśród straszniejszego od cierpień fizycznych naciśku moralnego*”.

„*W tym bowiem czasie, gdy żołnierz polski ginął na froncie, na konferencjach wielkich mocarstw dzielono jego ojczyznę*”.

Co to za „nacisk”? Może chodziło o atmosferę moralną, a raczej polityczną. Ale „nacisk moralny”? Żołnierz chciał się bić, uciekał ze szpitala po to, by się bić. Po co wypisywać te bzdury? Święty Kazimierzu Królewiczu!... Bo znów mnie ponosi „gorący temperament”.

Wspomniałem, iż dodatnią stroną kalendarza jest część historyczna. Niestety, jest ona opracowana w ten sam mniej więcej sposób, jak rozdział o Korpusie. Pomijając już fakt, że „Ważniejsze daty historyczne” stanowią dziwne zestawienie istotnie ważnych wydarzeń z rzeczami zgoła błahymi, roją się one od niedokładności i błędów rzeczowych oraz drukarskich. Nie sposób przytaczać tu wszystkich. Ograniczę się do kilku przykładów. Weźmy pierwsze z brzegu. Daty styczniowe (str. 49):

1. 1869. Rodzi się artysta malarz Włodzimierz Przerwa-Tetmajer...
2. 1588. Król Zygmunt III powołuje ks. Piotra Skargę na stanowisko kaznodziei krakowskiego.
4. 1207. Papież Inocenty III nakazuje wolny obiór biskupów przez Kapitułę.
5. 1793. Drugi rozbiór Polski...
5. 1818. Zgon... Marcellego Bacciarrellego, twórcy plafonów i malatur w Łazienkach...
6. 1582 ...rozejm w Jamie Zapolskim...

Jaka rozpiętość i co za różnorodność wydarzeń. Obiór biskupów i pokój w Jamie Zapolskim, „rodzi się” Włodzimierz Przerwa-Tetmajer i drugi rozbiór Polski... Nie chodzi o porządek chronologiczny, bo w tym układzie jest on niemożliwy, ale przecież można zachować pewne rozgraniczenie charakteru i ważności wydarzeń. Nie wgłębiał się w badanie ścisłości tych dat. Wystarczy mi, gdy przeczytałam, iż Józef Piłsudski powrócił z Magdeburga (str. 97) w dniu 10. IX. (korekta!) oraz, gdy daremnie szukam wzmianki o pierwszym dniu naszej niepodległości (data 11. XI. 1918 jest w ogóle pominięta). Wydarzenia świeże, jeszcze gorące, również podano nieścisłe. Np. pierwsza bomba atomowa padła na Hiroszimę nie 7. VIII. 1945 (str. 129), a 6. VIII, a druga na Nagasaki — zapewne na złość kompilatorom kalendarza — właśnie nie 10. VIII, lecz o dzień wcześniej. Poza tym Wincenty Witos zmarł 30. X. 1945, a nie 2. XI. 1945.

Oprócz tych „cyfrowych” nieścisłości, są jeszcze rzeczowe. Nie będę się wdawał w

drobiazgowo roztrząsanie tych cech kalendarza. By nie wywoływać „złej krwi” u tych i tamtych. Obowiązuje *treuga Dei*. Gen. Anders tak pięknie powiedział: „Odrzućmy wszystko co nas dzieli, bierzmy wszystko co nas łączy”.

Uważam natomiast, że od „podchorążych z Korpusu” można wymagać znajomości różnic między monarchią konstytucyjną, republiką, federacją i państwem totalnym.

Na groteskę zakrawa przeprowadzony (str. 140) podział ustrojów państw na „królestwa, inne państwa i Stolicę Apostolską”. W rubryce „Inne państwa” figuruje Francja obok Rosji, Szwajcaria obok Hiszpanii. Święty Kazimierzu Królewiczu!...

Skutkuje „gorący temperament” ustępuje miejsca „wielkiej pobożności”, więc zagłębiał się w żywoty świętych polskich.

Św. Cyryl i Metody (str. 43). Jako fakt niewątpliwy podano, „że są to ci legendarni aniołowie, którzy przyszli w gościnę do kołodzieja Piasta”. Niewyjaśniona jest natomiast sprawa ich przynależności narodowej, gdyż — jak czytam dalej — „byli oni *prawdopodobnie* pierwszymi misjonarzami słowiańskimi”. Chcąc wyjaśnić wątpliwości (nie moje, bo wiem, że *prawdopodobnie* byli na pewno), zaglądam do bibliografii (24 pozycji, stronica 190), by wynaleźć źródło tej głębokiej wiedzy historycznej. Są tu trzy pozycje, z których kompilatorzy mogli czerpać: W. Sobieski — Historia Polski i Z. Kotkowski — Rozkrzewianie wiary katolickiej, lub tenże Kotkowski — Historia powiatu kolskiego. Sobieski? Nie, on nie mógł pisać w ten sposób. Nie mam jego Historii, by się upewnić, ale zaglądam do Bobrzyńskiego:

„Zaraz następcą Mojmira, Rościsław (książę Morawian) zerwał z hierarchią kościelną niemiecką, zaprosił nowych apostołów Cyryla i Metodego z Konstantynopola i zaprowadził z ich pomocą w r. 863 obrządek kościelny słowiański”.

A więc jednak byli misjonarzami słowiańskimi. Nie pierwszymi wprawdzie, ale misjonarzami.

Misjonarzem był również bł. Bogumił, biskup pustelnik:

„Starał się zorganizować wielką pracę misyjną wśród sąsiednich pogańskich Prusów i gdyby zostało to skutecznione, — wywarłoby wielki wpływ na całe dzieje Polski, bo wówczas książę Konrad Mazowiecki nie sprowadziłby Krzyżaków” (Kalendarz, str. 43).

Gdyby. Ale nie zostało „uskutecznione”. Dlaczego? Zajrzyjmy do Bobrzyńskiego:

„Znaleźli się też dla Prus gorliwi apostołowie, cystersi z klasztoru wielkopolskiego w Leknie, Gotfryd (to pewnie ów Bogumił) i Chrystian... Konrad nie sprostął jednak zadaniu. Dopóki jeszcze żył wojewoda mazowiecki Krystyn, postrach Prusaków, sprawa szła nienajgorzej, ale kiedy Konrad, zażderzcząc mu wpływu, podstępnie kazał go zamordować, a sam apostołstwo swoje w Prusiech gwałtami i zdzierstwem znaczyć zaczął, zerwali się Prusacy i ciągłymi napadami zaczęli pustoszyć Kujawy i Mazowsze... Konrad, skierowawszy całą uwagę swoją na walki dynastyczne o pryncypat krakowski, rozproszył na nie swoje siły i zamiast je na sprawę pruską skupić, szukał z niej taniego sposobu wyjścia. ...Dlatego powziął myśl sprowadzenia zakonu krzyżackiego...”

Tak więc dzieło bł. Bogumiła zniweczył Konrad, „skierowawszy całą swoją uwagę na walki dynastyczne”.

Czytajmy dalej.

„Bł. Czesław Odrowąż... przeor klasztoru we Wrocławiu..., który przepowiedział najście Tatarów, a gdy nadeszli i oblegli (winno być: oblegli — korekta!) miasto, mocą modlitwy odrzucił ich i zmusił do cofnięcia się w popłochu” (Kalendarz, str. 43).

Zajrzyjmy znów do Bobrzyńskiego:

„Hordy tatarskie, spaliwszy Sandomierz, Kraków i Wrocław, zatrzymały się dopiero pod Lignicą, gdzie ich wyczekiwał z zebrany zewsząd wojskiem ks. Henryk Pobożny”.

Kłóś więc się myli. Albo Sobieski, albo Bobrzyński, albo...

W rozdziale „Prasa polska” czytam na str. 164:

„W latach 1718-1797... w Gdańsku wychodziło specjalne czasopismo pt. „Polnische Bibliothek” (ma być: Bibliothek — korekta!), w którym wydawał Gotfried Lengnich oczyszczał historię polską z obcych fałszów”.

Jaka szkoda, że już nie wychodzi. Jestem przekonany, iż gdybyśmy p. Gotfriedowi Lengnichowi przestali kalendarz, oczyściliby go z niemiecką dokładnością z wszelkich fałszów, tym razem naszych. I zapewne wytknęłyby kompilatorom kalendarza zupełnie pominięcie w wspomnianym rozdziale najliczniejszej wśród wszystkich krajów okupowanych przez Niemców: naszej podziemnej prasy krajowej.

W tym samym rozdziale o prasie znajduję takie zdanie:

„Ilustracje do tego tygodnika wykonywali nasi plastycy, a w szczególności ppor. Stanisław Westwalewicz, wykonywali je z powodu braku cynku, a nawet linoleum na gumie” (str. 167).

Jak to „z powodu”? A czy dzisiaj, gdy mamy cynk, nasi plastycy nie wykonują już ilustracji? Nie rozumiem.

Nie rozumiem również, dlaczego Moskwę przeniesiono na Krym (str. 136) i dlaczego w wyliczeniu pogłowia zwierząt domowych w Polsce wymieniono 275 niedźwiedzi (str. 139), a pominięto zupełnie osły. Czy po to, by obcokrajowców nie wyprowadzać z błęgiego przekonania, że po ulicach miast polskich paradowały niedźwiedzie, a na lekarstwo nie było osłów. Były. Sam widziałem.

Święty Kazimierz Królewicz!... Bo mnie ponosi...

Ludność Polski w 1931 roku liczyła 35.100.000 (str. 136). Nie. W 1931 roku było w Polsce 32.100.000 ludności, a dopiero w 1939 roku ilość jej przekroczyła 35.000.000 i to według danych opartych na przypuszczeniach.

„Nr. motocyklu” (str. 8). Nie. Po polsku mówi się: nr motocykla.

Przytoczona na str. 13 zwrotka jest urywkiem pieśni bojowców z 1905 roku „Naprzód Warszawo”, a nie „Warszawianki”.

Słowa kanonika Starowskiego: „Deus mirabilis, fortuna variabilis” tłumaczą się na polskie „Bóg cuda czyni, a szczęście ludzkie jest zmienne”, a nie „Bóg jest wszechmocny, a fortuna zmienna” (str. 66).

Nr Battledressu (str. 7). Nie. Po angielsku pisze się battle-dress, a po polsku to samo słowo oznacza strój polowy.

Angielskie „ahead” wymawia się raczej „ehe'd”, a nie „ahi'd” (str. 182). Przy nauce angielskiej wymowy radzę posługiwać się raczej słownikiem J. Stanisławskiego, niż przytoczonym w bibliografii „Podręcznikiem do nauki języka angielskiego”. Jak mnie zapewniał pewien bardzo kompetentny w tej materii znawca, wspomniany podręcznik roi się od błędów. Nie chcę przez to twierdzić, iż nie nadaje się jako pozycja bibliograficzna w kalendarzu.

Ze zdumieniem przeglądam tę bibliografię. Obok „Polska w zwyczaju i obyczaju” Dynowskiej — „Kalendarz Barba Nera na 1946 r.”, obok roczników „Orla Białego”... ech, dajmy pokój, bo znów „gorący temperament”... A trzeba się uzbroić w cierpliwość, bo przechodzę do owej „Barba Nera”.

Święty Kazimierzu Królewiczu!... Ratuj!
Pomagaj!

Na straganach rzymskich kupić można za 10 lir kalendarz „Barba Nera”, będący zbiorem przepowiedni. Coś w rodzaju naszych senników egipskich, sprzedawanych na odpustach.

„Się śni okręt leliowy, płynący po morzu Marmora, ciągniony przez dwa łabodzie — dla pań i owszem, dla panów nietęgo” — czytało się w takim senniku.

Lub też inne wskazówki odnośnie układni snów:

„Nieboszczyka śnić — nieszczęście

W innym zaś miejsu, pod literą T:

„Trupa na katafalku we śnie widzieć — wesele w rodzinie”.

Można się było przynajmniej pośmiać z tego. Z „Barba nera” (Czarnobrody) nikt się nie śmieje, bo „wydawnictwo” to nie jest nawet głupie. Jast jałowe, tępe, beznadziejne. I z tej właśnie skarbnicy bzdur nasi luminarze czerpali pełną ręką przepowiednie na rok 1946. Uchylmy zastony, spójrzmy co nas w tym roku czeka.

25. I. Wybitna osobistość przedmiotem powszechnych rozmów (str. 48).

9. II. Niezwykłe wiadomości z północy (str. 52).

25. III. Smutna wiadomość (str. 57).

16. IV. Niespodziewana pomyślna wiadomość (str. 62).

25. IX. Doniosłe wydarzenie zajmuje umysły wszystkich (str. 82).

23. XI. Kłopotliwe nowości (str. 89).

31. XII. Tryumf sprawiedliwości (str. 93).

O, Święty Kazimierzu Królewiczu!...

Żebym to przynajmniej mógł być pewien, że entuzjaści „Barba Nera” odpisali sumiennie daty. Oplacałoby się czekać cierpliwie na ów „tryumf sprawiedliwości”.

W rozwodnionym na 18 przykazań dekalogu pt. „Pamiętaj że:” piszą kompilatorzy kalendarza: „Należy strzec godności i czystości polskich obyczajów” (str. 14). Czy „Barba Nera” ma się przyczynić do wypełnienia tego przykazania?

Święty Kazimierzu Królewiczu, ukarż!

Ukarż ich za to, że umieścili „Barba Nera” wśród pięknych polskich przysłów i przypowieśni, wśród opisów staropolskich obyczajów. Za to, iż sługę i imiennika twego ponosi „gorący temperament”, gdy czytając z „wielką pobożnością” jak to „Święty Marek poszedł na folwark oglądać żytko, czy zeszło wszystko”, napotyka czarnobrodą zmoreń włoską.

Święty Kazimierzu Królewiczu!...

Odpocznijmy trochę. Bo „temperament”... I w ogóle jestem w rozterce duchowej. „Nacisk moralny” — rzecz można. Wyprowadza mnie z tego im pasu... kalendarz. Str. 184: „Umiejętność pracy umysłowej”.

„Człowiek jest z natury leniwy. Musi się zdobyć na duży wysiłek woli, by przez wyćwiczyć lenistwo.

Jesteśmy zdolni do tego, gdy kieruje nami miłość dla jakiejś wielkiej sprawy lub jakiejś osoby, lub poczucie obowiązku.”

Przywołuję więc poczucie obowiązku i przewyciężam lenistwo. Jest mi w tym pomocna inna rada kalendarza:

„Bez ochoty nie prowadzić dalej pracy, bo nie da ona wyników. Najlepiej przerzucić się wtedy do innej pracy”.

Polszczyzna niczego sobie. Ale „przerzucam się do innej pracy” i zamiast „Barba Nera” czytam urywki z historii obyczajów.

Piękne są te obyczaje staropolskie, przysłowia, przygodne wierszyki i wierzenia ludowe. Za wprowadzenie tego działu należy się kompilatorom kalendarza uznanie.

W tych fragmentach odnajduje się krasę naszego lata, złocistość jesieni i świst wichru w zadymce śnieżnej. Dorodne dziewczęta w spodnicach pasiastych i dojrzałych gospodarzy w odświętnej sukmanie. Piękno polskiej wsi.

„Idzie czerwiec, jak królewicz,
W ołoczeniu leśnych dziewic,
A stuletni las
Kłania mu się w pas”.

Czy to nie piękne? Albo też przysłowie:
„Święta Zofija kłosa wywija”.

Takie to nasze, swojskie. I dlatego właśnie zżymam się, gdy obok tych pięknych rzeczy widzę w kalendarzu tyle bzdur, gdy wyziera zeń duch epoki saskiej.

Pomijam świadomie omówienie rozdziału „Nasz wkład do cywilizacji świata” (str. 169 i nast.). Ograniczę się do stwierdzenia, że pisano go „na kolanie”. Jest to najtańsza opinia, jaką w tym względzie można wydać.

Nie chcę też wytykać błędów językowych i drukarskich w rozczulających „Praktycznych wskazówkach” (str. 186). Powiem tylko, iż papier szmerglowy (str. 187) nazywa się po polsku szklistym. Po polsku, proszę panów. Nasz język jest bogaty i piękny. Lecz, by się nim posługiwać, trzeba go wprawdzie poznać.

Na str. 159 czytam, że zadaniem Oddziału Kultury i Prasy „było i jest kontynuować dzieło dawnych pokoleń w dziedzinie wydawnictw książki polskiej”. Z przytoczonych cyfr wynika, że Oddział to zadanie spełnia nad podziw wydatnie. W wykazie wydawnictw (str. 176) nie widzę pozycji ujemnych. Lecz mam poważne wątpliwości, do jakiej kategorii zaliczyć kalendarz na 1946 rok.

Czytam czterowiersz Or-Ota (str. 189), kończący się słowami:

„Nie ma takiego kraju
na przestworzach świata,
Gdzieby w słońce nie biła
polska myśl skrzydłata!”.

I zadaję sobie pytanie, czy kalendarz jest tej myśli wyrazem?

Opracował porucznik 2 Korpusu
Kazimierz Zamorski

List o „Miłym Mieście”(*)

...Zostałem aresztowany w Wilnie przez Gestapo 20 marca 1944 roku. Później—zwykła kolej rzeczy (ta szczęśliwsza): Śledztwo w gmachu Gestapo, Łukiszki, Prewieniszki na Litwie i wreszcie świeżo założony dla „Ostlandowców” obóz karny w pobliżu Metz. Siedziałem stosunkowo krótko. 1 września zeszłego roku w czasie ewakuowania obozu do Niemiec udało mi się uciec. Tułałem się kilka tygodni po zaroślach w pasie przyfrontowym, aż wreszcie doczekałem się Amerykanów. Było to pod Thionville. Tego samego dnia powędrowałem dalej, pieszo, zmierzając do Verdun. Tam posiedziałem dwa tygodnie w obozie amerykańskim dla zatrzymanych, zorganizowanym dla takich właśnie wólczków jak ja. Sprzykrzyło mi się wreszcie czekać na obcywaną komisję polską i wymknąłem się spod opieki — tym razem naszych sojuszników. Tłukąc się marudnie po rozmaitych drogach dotarłem na koniec do Paryża. W Paryżu siedziałem kilka miesięcy, potem miałem wykłady pod Grenoble na kursie nauczycielskim, później organizowałem i początkowo prowadziłem szkołę dla junaków w La Chapelle pod Paryżem...

...Byłoby mi o wiele przyjemniej, gdybym mógł Panu dać informacje o obecnym losie Pana Matki. Niestety, to co opowiem, odnosić się będzie do marca—szczegółowiej, a do połowy maja—ogólniej zeszłego roku.

Z Pańską Mamusią żoną moją i ja byliśmy w stałym kontakcie od chwili mojego wydostania się z bolszewickiego więzienia. Ostatni raz widziałem Panią w począt-

kach marca zeszłego roku. Ostatni zaś raz słyszałem o Niej od żony w czasie nielegalnego widzenia w obozie karnym w Prewieniszkach.

Do późnej jesieni 1941 r. mieszkaliśmy przy ulicy F. Widywaliśmy się z Pańską Mamusią b. często. Później przeprowadziłem się na zaulek B. Pańska Matka zachodziła do nas prawie zawsze ilekroć była na nabożeństwie. My z kolei nie pozostawialiśmy dłużni. Żona odwiedzała częściej, ja — o ile tylko czas pozwalał. W uroczyste święta już oczywiście zawsze składaliśmy sobie wizyty. Na przełomie 1942/1943 roku korzystałem nawet z mieszkania Pańskiej Mamusi, jako kryjówki, bo było wtedy koto mnie trochę gorąco.

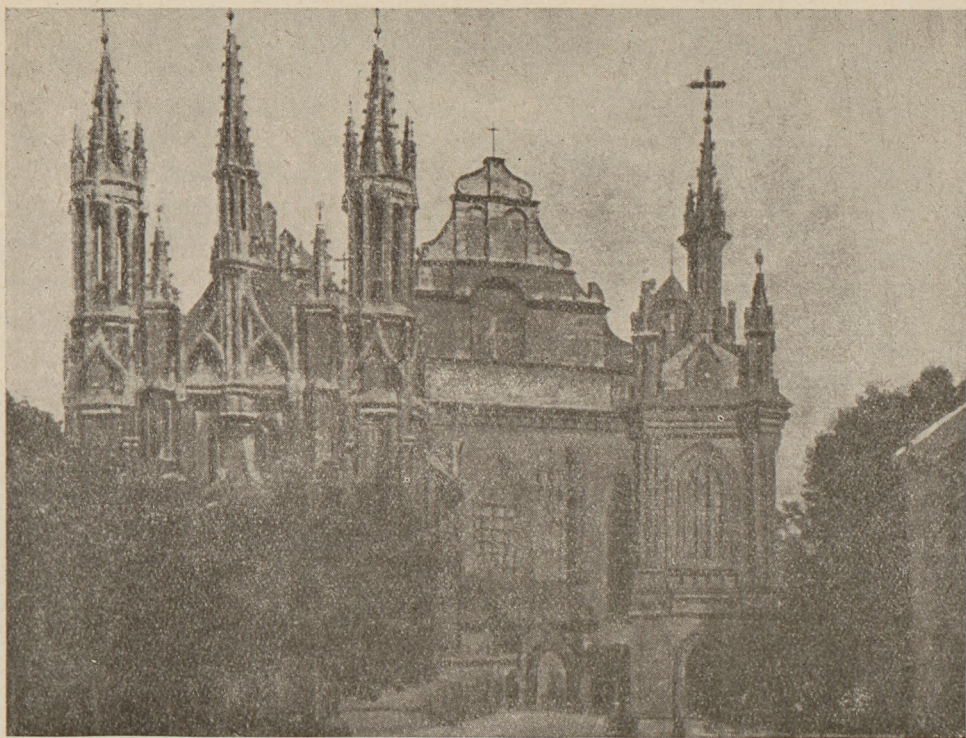
O wyratowaniu się Pana z piekła sowieckiego Mamusia wiedziała i ta świadomość stanowiła dla niej poważną ostoję duchową i nadzieję na lepszą przyszłość. Dopóki nie było wiadomości o Panu, była niestęchanie przynębiona i skłonna do płaczu. Później jednak uspokoiła się, bo przyszły wiadomości.

Pierwszą kartką, która była jakby szczęśliwą zapowiedzią innych, była ta, którą wyrzucił Pan przez okno więziennego wagonu w drodze na Wschód. Jakiś człowiek kartkę podniósł, oddał drugiemu, ten trzeciemu i dopiero ktoś czwarty dostarczył ją Pańskiej Matce we wrześniu 1941 r.

W roku 1942 nadeszła z Konstantynopola upragniona wiadomość, że Pan żywy i zdrowy. Nie będę opisywał ile było radości, radosnych łez i tkliwych słów. Łatwo sobie Pan to może wyobrazić, bo zdaje sobie Pan sprawę, jak wielką miłością darzy Pana Matka i jak nią tylko żyje...

...Mamusia otaczała wszystkie rzeczy, które należały do Pana, nadzwyczajnym kultem.

*) Jeden z naszych przyjaciół otrzymał list dotyczący nie tylko jego spraw osobistych, ale i obrazujący klimat psychiczny Wilna pod okupacjami. Dlatego też list ten cytujemy w obszernych wyjątkach.



Kościół Św. Anny i Bernardynów w Wilnie

Od ubrań poczynszy, a na książkach i rozmaitych drobiazgach kończąc — wszystko przechowywała z wielką starannością i tkliwą pieczołowitością. Z oburzeniem mówiła kiedyś do nas, że ktoś jej doradził sprzedać ubrania Pana. Widząc to wielkie przywiązanie do wszystkiego, co jej Pana przypominało, nie próbowaliśmy nawet iść w ślady owego niefortunnego doradcy. Wiedzieliśmy, że gołowa głodować, lecz nie zdecyduje się na sprzedaż umiłowanych rzeczy. Nie mogliśmy się oprzeć urokowi tego kultu, było w nim bowiem tyle miłości, rzewności, tyle wzruszającego piękna...

Oprócz nas odwiedzali Pana Matkę od czasu do czasu: I. i ta panienka, którą poznałem w pierwszym okresie konspiracji, a której imienia i nazwiska zapomniałem. A ponieważ stało się w Wilnie powszechną regułą, że ludzie wzajemnie sobie pomagali w miarę sił i możliwości, przeto i o Pańskiej Matce nie zapomniano. Zapewne, niewiele to było, ale od czasu do czasu jakiś skromny zasilek z funduszy na pomoc dla nauczycieli i rodzin nauczycielskich lub ten i ów ze znajomych, lepiej sytuowanych, przyszedł z darem. W ten

sposób dyskretnie wspomagali ś. p. Stanisław L., R., K., I. i wreszcie jakiś anonimowy przyjaciel, ku wielkiemu zdumieniu, a nie mniejszej radości, bo zima była solidna, podrzucił dwa metry drzewa. Chytra bestia, nie dała się jednak nigdy odszyfrować. Wspominam Panu o tym, by Go pocieszyć, że Mamusia Pańska była wspierana, oczywiście, nie o materialną stronę mi chodzi, jakże ubogą i sporadyczną, ale o stronę moralną, bo znacznie łatwiej żyć, gdy się czuje kogo sobie przyjazne oczy i przyjazne ręce...

Na zakończenie parę wiadomości o naszych bliższych wspólnych znajomych z Wilna. — Wspominałem już, że L. nie żyje. Został aresztowany, skatowany w Gestapo i rozstrzelany 27 stycznia 1943 r. na Ponarach. Zachował się jak bohater. Łańcuszek wsyp na nim się zerwał, wytrzymał wszystkie tortury, nikogo nie wydał ni z komórek niższych, ni z nadrzędnych. A wiedział dużo...

Łączę serdeczne pozdrowienia —

L. K.

Francja, L—C., dn. 20. XII. 1945.

SPIS TREŚCI

	Str.
Z listu Bema do Czajkowskiego	3
Wchodząc w trzeci rok <i>Redakcja</i>	4
Odezwa Rządu Narodowego	6
Rok 1945 <i>G.</i>	7
„Wybory” jako narzędzie sowieckiego ucisku	11
Ofensywa sowiecka na Bliski Wschód <i>Andrzej Olendzki</i>	15
Ojciec nasz <i>Artur Międzyrzecki</i>	19
Co z Niemcami? <i>Michał Janiszewski</i>	20
Mała zgoda za Wielkim Murem <i>J. P.</i>	24
Pierwsze dni <i>Krzysztof Wolny</i>	27
Jadąc mimo winnic <i>Bolesław Kobrzyński</i>	30
Miesiąc w krainie absurdu <i>Tadeusz Zajczkowski</i>	31
Śmierć domu <i>Beata Obertyńska</i>	37
W imię prawdy <i>Paweł Prusinowski</i>	39
W pracowni literatów polskich <i>Herminia Naglerowa</i>	41
	42
	42
Bracia Kordiczowie <i>Gustaw Morcinek</i>	42
Panorama sztuki włoskiej <i>Carlo Verduni</i>	52
Za jedyne dwadzieścia groszy <i>Kazimierz Zamorski</i>	57
List o „Miłym Mieście” <i>L. K.</i>	62

Okładka — Aleksander Werner





